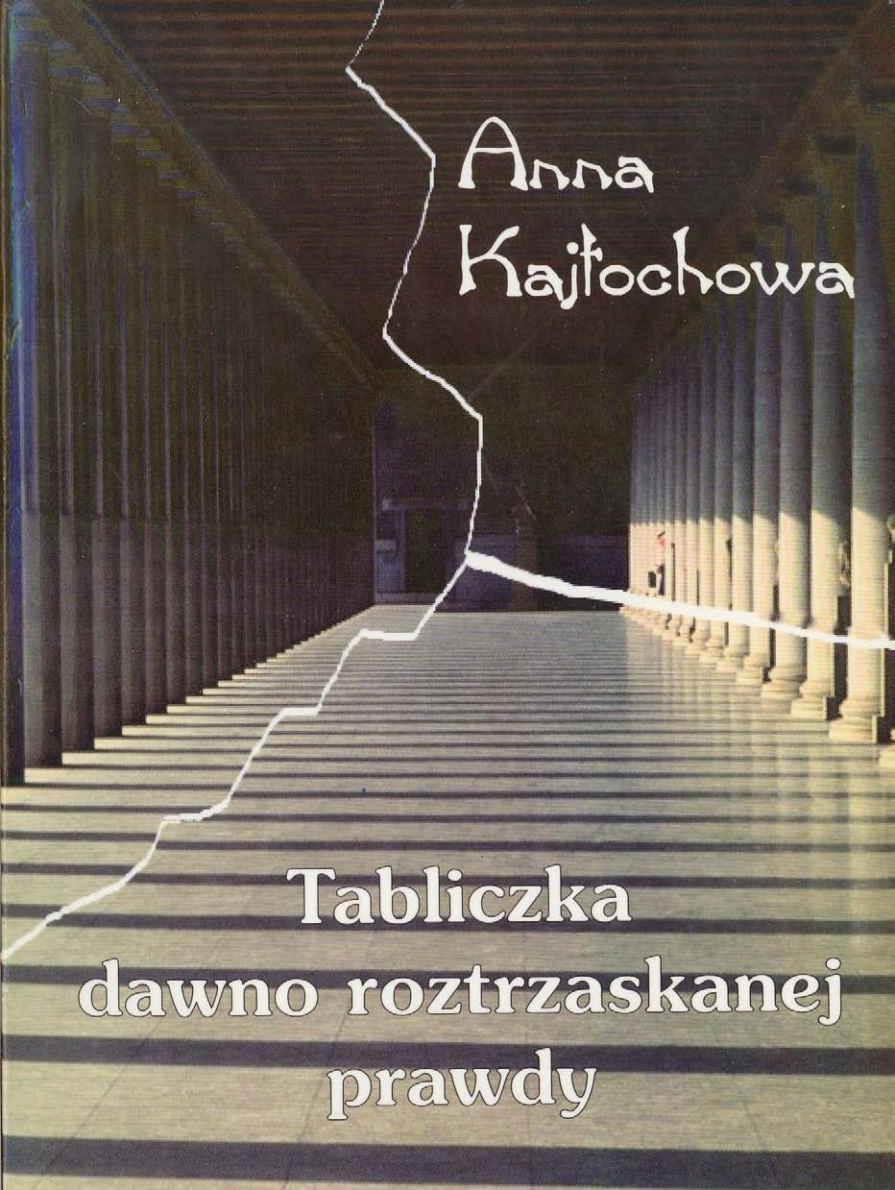
Anna
Kajtochowa
Tabliczka
dawno roztrzaskanej
prawdy

Anna Kajtochowa

Tabliczka dawno roztrzaskanej prawdy

Wybór wierszy

PiT
WYDAWNICTWO
Kraków 1998

© Copyright by Anna Kajtochowa, Kraków 1998

Wybór i redakcja:
Jacek Tomiak

Okładka:
Zbigniew Drapa

Redaktor techniczny:
Piotr Drapa

Tytuł sponsorowany przez Zarząd Miejski w Brzozowie

ISBN 83-86219-58-0
Wydawnictwo PiT w Krakowie

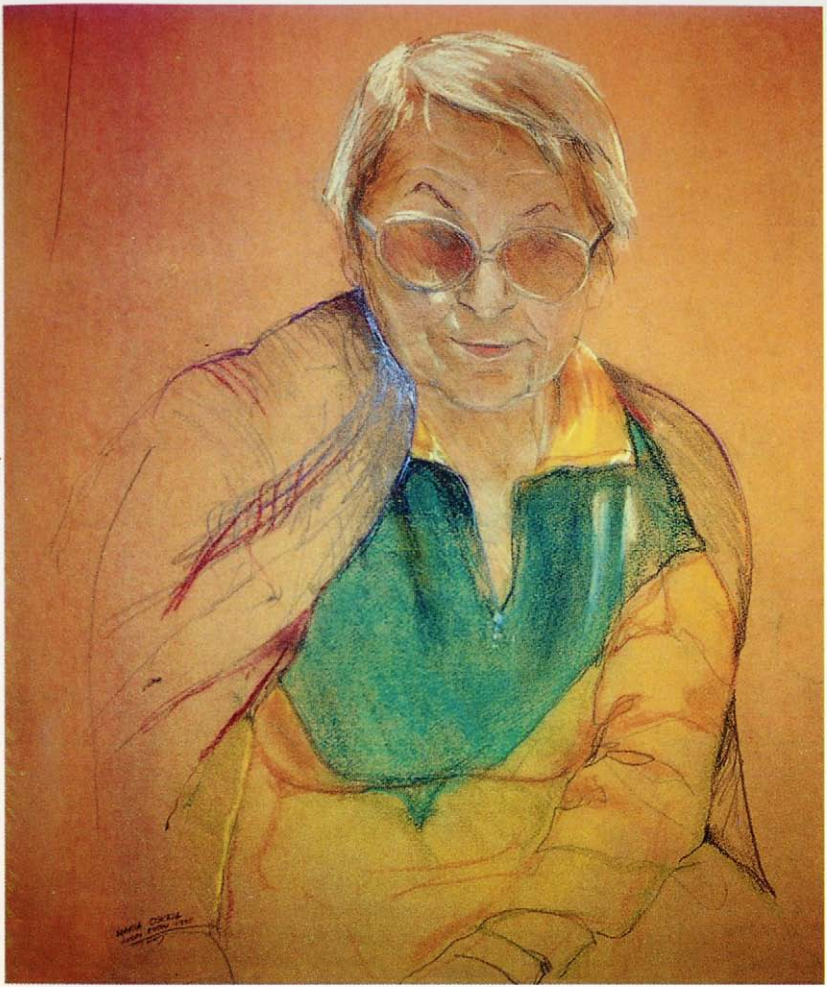

Portret autorstwa Marii Ogłazy

Anna Kajtochowa

Były niegdyś wędrówki o świcie

Na promieniach układałam stopy
O źdźbła żytnie opierałam dłonie

W wodach niebo kryło płat błękitu
Spięty klamrą zblakłego księżyca
Zatem chciałam ubrać siebie w niebo

Mlekiem pachną orosiałe trawy
I mrocznieją krzewy w wąskim jarze

Teraz miedza powiedzie nad stawy
Nieprzytomne od żab i kumkania

Szukam kęp mchu i krwawnika
By nie deptać
Snu barw kolorowych
Ale za mną podążają krowy
I w ich pyskach
Piękno łąki znika

Jest we mnie smutek nienarodzenia
Bezsilność źródła w piaszczystym podglebiu
Milczenie larwy w kipiącej topieli
Los ziarna — więźnia pustyni

Jest we mnie bezradność trwania
Plemienia Ona z czasów Magellana
Pustka namiotów lodowiec popiołów
Umilkłe echo wyśpiewanej pieśni

Opadłe ręce Jej — ostatniej z rodu
W krzepiącym geście wreszcie powitania
Tylu znękanych wiekami pochodu
Do miejsc rodzinnych dawno spustoszonych

Wciąż trwają we mnie tamte dni
Mieszają wszystkie poplątane sprawy
Koszmarem męczą niewyśnione sny
Kosy ścinają pulsujące trawy

Kłonią się drzewa nad maliniakiem
Łysym wyrębem pełznie żmija

Szkielet gałęzi pozbawionej kory
Mianuję różdżką — odkrywczynią wody
Ściągam nią burze — huczą piorunami
Widzę kulisty — pulsuje nad nami

Martwieje księżyc
I dalej wrze burza

Jeszcze w moich oczach
przemieszcza się niebo
Jeszcze chciwie chłonę
refleksy zieleni
Jeszcze łowię w szumie
oddechy przestrzeni
i układam kruche
odrobiny serca
w tabliczkę dawno
roztrzaskanej prawdy

Jest we mnie spokój umierania
Chwiejność każdego następnego kroku
Pełnia bilansu co dnia zestawiana
I wciąż od nowa wskazująca zero

Pewność przegranej przy pierwszym rozdaniu
I gra beznamiętnie kontynuowana

Noszę w sobie głód
— posiłek wielu sytych
Noszę w sobie pragnienie
— napój skacowanych
Noszę w sobie świat
— granat ćwiczących żołnierzy

Zabijam w sobie
co dzień nadzieję

Łatwiej się wtedy umiera

Otwierasz dzień
mruczeniem ognia Ożywiasz ekran miliona
byto-niebytów myślo-niemyśli tysiąca
wariantów wyobraźni wzloto-upadków setką
iluzji
westchnień
pragnień

zamykasz dzień
aksamitem skóry

Zaświeciłeś słońce
zgasiłeś słońce

Splątałeś dłonie
rozplątujesz dłonie

Stworzyłeś świat
i rozbiłeś świat

Gniotę bosą stopą
potłuczone szkło

Ot, zdarzył mi się
spacer kosmiczny
w próżnię doskonałą

Jak nauczyć się żyć
Bez głowy rąk i nóg
jak nauczyć się żyć
Bez oczu uszu
czucia zapachu i smaku

jak nauczyć się żyć

w domu bez ciepła
w nocy bez cienia
w dniu bez słońca
w studni bez wody
w piwnicy bez dna
w ptaku bez skrzydeł
w ciele bez krwi
z duszą bez nadziei

Jak nauczyć się żyć
inaczej

Według mnie miłość
jest łzą sosny
zastygłą w okruch bursztynu
tyle w niej słońca
i taki bezmiar trwania

Jak znaleźć bursztyn
w piasku codzienności
aby go rozgrzać
ciepłem naszych dłoni?

Oswajanie poduszki
przebiega łagodnie:
podnoszę, strzepuję, formuję,
wygładzam,
układam na niej zmięty kłębek głowy;

z oswajaniem serca
jest inaczej: to ono
zwalnia, przyśpiesza,
cwałuje, trzepocze, ustaje,
nikłym drgnieniem zadaje cios.

Tak. Nie zawsze proste
bywa oswajanie.

Mój świat to przygarść puchu
z umierającym wewnątrz ptakiem
przyćmione mgłą
skośne oczy lamp
człowiek
miękka gąbka w skórze szkła i wojłoku
krab z pępowiną
nieważkimi dłońmi szukający w próżni
powrotu
i strontem tkana
mleczna droga
i ślizgi świateł na asfalcie
zbierają krew z rozbitych twarzy
i bełkot pijany na rogu ulicy
i gilotyna na głowy
nomenklaturowych złodziei

mój świat
taki daleki w dziecinnych oczach
i taki bliski
w dotyku ich dłoni

Cieknie czas

ziarnami piasku
fałduje pustynię

falami wody
wymywa mielizny

w zapach macierzanki
spowija nam groby

Wojtkowi

Przypływasz do mnie
i odpływasz
w szklanym boksie
członie rakiety

Pierwszy osiadł miękko
w Oceanie Burz
w drugim
zamknięty smugą
w krawędzi sześcianu
stygnący okruch
w uścisku żywicy

samotnie pokonujesz
niewidzialność

Nie mogę przeniknąć szkła

Ten ład chaosu
w kawernach Gielniaka
Ta siła bezwoli
i bezsiła trwania
Te rzędy nosów
wciąż atakujących

Gdyby tak grzędy
zasadzić nosami
zamiana gleby
wyjdzie im na zdrowie
I może zmieni
położenie nieba
wobec tych nosów
które rosną w ziemi

Mój autoportret:

fragment rzeźby w plenerze
ni to pręt z korzenia
ni dwa głazy na się nasadzone

magnetofon
w przechodnim pokoju
(rejestruje często trzaskanie drzwiami)

bławatek
w zamkniętej trumnie
(jeszcze po wiekach będzie bławatkowy
przezornie przypięty na orderowej poduszce)

i tak po prostu
milknąca fraza

Żaden muzyk
nie potrafi jej zamknąć
w siatce pięciolinii

Wybieram sposób ucieczki -
w myślenie

penetrując myślą każdy okruch życia
najintensywniej się umiera

Im mocniej wbijają się
w swoją prawdę
w swoją prawdę wierzą
tym słabiej widzą
prawdę innych
nosi się bowiem swoją prawdę
jak bandaż na ranie
i tylko krwawiąc
się od niej odrywa

Jaki jest zatem sens
głoszenia tolerancji?

Bezsilne myśli
bezradne słowa
rzucam
piłką o mur
odbita piłka
wraca do rąk

na murze
brak
nawet śladu

Ziemio naftą płynąca
przetykana źrenicami stawów

czerwona w rozpadlinach
czarna w debrzach i stawach

ziemio słodka owocami bukwi
gorzka smakiem jagód

sztucznym ogniem wirujesz
w mroku mej pamięci

Poznałam trud rodzenia
ból rozstania
cierń miłości
dno rozpaczy

I cieszę się
świtu wschodem
pierwszym stąpnięciem
śnieżyczką w marcu
i sobótką w czerwcu

Nie zabijajcie
mojej radości

To mówię ja:
córka, siostra, żona, matka, babka
powielona w miliardach
Nim powiedzieliście *a*
chwyciliście pierwszy oddech
Nim odróżniliście kolor
połknęliście pierwszy kęs
Nim poznaliście rodzinny kraj z nazwy
odczuliście trud pierwszego kroku
dotknęliście twardości ziemi

Nim powiecie *w*
pamiętajcie że na końcu jest *z*
tak jak *a* na początku
i *o* — oddech — w środku
I że bez *o*
nie ma i nie będzie alfabetu życia
dla nikogo

Jestem pełna niepokoju
jak żywy cel kulomiotów
rzucony prawem wojny
w martwe pole niczyje

Pośród krzyżujących się serii
najlepiej
upaść plackiem
albo
iść prosto przed siebie

Ileż spokoju
w Twym niepokoju
Ileż ruchu
w pozornym bezruchu
Ileż czułości
w Twojej
szorstkiej twarzy

Jak ciepło
płonie lampa
w dojrzewającym
zmierzchu

Marcie

Byłam małą dziewczynką
w gorzkiej wodzie brodziłam po kostki
Byłam młodą dziewczyną
gorzka woda sięgała po pas
Byłam młodą kobietą
gorzka woda dosięgała piersi
Jestem młodą staruszką
gorzka woda zalewa mi oczy

Przystanąć
przed każdym
podeptanym kwiatkiem
Pochylić się
nad każdym
płaczącym dzieckiem
Odpowiedzieć
na każde życzliwe słowo
zatrzymać się
przed każdym
współczującym spojrzeniem
Cóż,
to prawda
coraz dłuższe są
nasze postoje

Jest ból
którego niczym nie uśmierzysz
nie jedna przepaść
której nie zasypiesz
wierzchołek góry
której nie dosięgniesz
I takie też bywają miary
twego człowieczeństwa

Odkryłam przyczynę
poczucia
stałego oddalenia
od innych
Tak bardzo pragnę
być blisko
że to pragnienie
tworzy granicę
bym nie spłonęła
nim do nich
dotrę

Rusza koń stępa
i świat odkrywa
dzieciństwa urokiem

Podąża truchtem
młodość musuje
między dniem i zmrokiem

Rytmicznym cwałem
mknie przez bezdroża
wieku dojrzałego

i już do śmierci
niesie nas
galopem

Mówię do księżyca:

drżysz migotliwie
błyszczący koraliku
na nitce nocy
jakiż z ciebie
konkurent
dla tysiąca
świateł alei
najszlachetniejszy
klejnocie
miejskiej
beznadziei

Mój ty ptaku
w klatce żeber
uwięziony

osobisty niewolniku
głęboko w piersi
ukryty

mój dzień ostatni
będzie pierwszym
twego wyzwolenia

Sztuką jest nie tylko życie
także umieranie

Nauczyć się umierać
od liści kasztana
złotym deszczem spływających
w szary piasek ziemi

od owoców klonu
jakże lotnych
w swojej
ostatniej godzinie

I od dębowych żołędzi
gorzkich też po śmierci

Z miłością
jak w grocie
górskiego kryształu
        nie można
        niczego potrącić
        nawet
        szeptem
jeśli nie ma
się nad tobą
roztrzaskać
szklana góra

Nie wyrządza się krzywdy
tym którzy kochają
są bezbronniejsi
niż starcy i dzieci
niczego nie mają
dla własnej obrony
niczego prócz serca
wciąż otwartej rany
gdy spada nań krzywda
cios
niespodziewany

Lubię
gdy mnie obejmuje
ciepła cisza domu

Czuję
puls zegara
i przyjazny oddech
bibliotecznych półek

Zmierzch
mi rozświetla
uśmiech
twoich oczu

Dźwigam
wiązkę chrustu
w lesie zebranego
To nie ja
niosę brzemię
to ono
mnie wiedzie
ścierniska bezdrożem
i grudniową drogą

A kiedy je zrzucam
pod drzwiczkami pieca
to nie ono
to ja
w palenisku płonę
żywym ogniem palą
ramiona strudzone

Jakoś nie może
dorosnąć we mnie dusza
ciągle każdemu ufa
i w słowa święcie wierzy
bez składu i ładu
mnoży i dodaje
a później tylko
z żalem odejmuje
na użytek bliźnich
stroi mądre miny
i zawzięcie splata
śmieszne warkoczyki
pewnie na przekór
łysiejącej skroni
i w coraz głębsze bruzdy
pooranej twarzy

Równie niełatwo
być koniem
jak człowiekiem
i koń i człowiek
bezbłędnie trafia do domu
i koń i człowiek
często ciągnąć nie ma siły
i koń i człowiek
łamie nogi na nierównej drodze
i koń i człowiek
wierzgnie niekiedy za młodu
i koń i człowiek
siwieje na starość

Czyż sensowne jest zatem
ujeżdżanie konia
przez człowieka?

Pytam katechetę:
Dlaczegóż to człowiek
jest panem stworzenia
— słabszego?
Dlaczegóż nie-katolik
to w oczach Kościoła
jednak coś
— gorszego?
I jak się ma to
do prawdy
też ponoć jedynej:
— Panie,
otom przed Twoim obliczem
prochem i niczem?

Gdzie się schronić
przed padającymi
zewsząd kalumniami
Gdzie
znaleźć zacisze
pośród halnych
wiatrów
Gdzie opaść
bezpiecznie wyrwanemu
z korzeniami drzewu
A w istocie:
i w mysiej norce
starczy miejsca
dla ludzkiego
strachu

Im mocniej
starość ospą
znaczy moją twarz
tym wyraźniej
słyszę mowę ptaków
w ogrodzie
tym jaśniejszy
jest rysunek gałęzi
w ramie okna
tym żywiej
pulsuje kolor krzewu
naprzeciwko

Dlaczego
dopiero gasnące oczy
tak dokładnie widzą

Chciałabym
zabrać z sobą
zapach wieczoru
na leśnej polanie
aksamit trawy
pod stąpnięciem stopy
dotknięcie nieba
i dziecięcej dłoni
smak gorzkiej
szałwi
krzyk klucza
żurawi
oszronioną
drabinkę pająka
aby zejść znowu
na spotkanie
z Tobą

Osłonięte ciszą komnaty
drzemią namioty wezyra
tak nie na miejscu w zamku
jak mit o wspaniałości
dawno wygranej bitwy
i przegranej wojny
jak marzenie o potędze
w epicentrum klęski
A w gruncie rzeczy:
jak dobrze, że mogę
jeszcze myśleć,
patrząc na namioty wezyra
rozpięte w wawelskiej komnacie.

Patrzę na wojnę chmur:
zebrały całą nienawiść ziemi
przepełniły obrzeża oceanem zła
nabrzmiały krzywdą
łamią i wznoszą przeszkody
rwą i budują każdą strukturę
galopują garbami pustyni
i kłębami pary
pierzaste strzępy
rozwłóczy wiatr
dymi nad ruinami
krwawy zachód
Wiem
jak i kiedy
ta wojna się skończy
i noc pokona
najgroźniejszą z chmur

Obyśmy tylko takie
przeżywali wojny

Ilomaż to nićmi
plącze się nasz los
z innymi
ktoś inny nas rodzi
ktoś inny
na wieczny prowadzi
spoczynek
ktoś inny otwiera drzwi
ktoś inny zamyka drzwi
ktoś inny leczy
ktoś inny zabija
już witając świat
wpadamy w wiązkę
laserów
i czy to ważne
w którym paśmie
spłoniemy?

Wędrowanie czarnym szlakiem
— po rumowisku roztrzaskanych sosen
wędrowanie białym szlakiem
— przez tunel wyschniętych potoków
wędrowanie szlakiem czerwonym
— pozdrawia nas ciepło kalina
wędrowanie szlakiem zielonym
— nie wetkniesz szpilki
w świerkowe poszycie
wędrowanie: nocą i o świcie

na co dzień
krążę wokół
jak sputnik po orbicie
dokładnie według programu
z góry ustalonych parametrów
ściśle od do

nie sputnik ważny
ale sam ruch
i efekty programu

nagły defekt mechanizmu

czuję Kosmos
odbieram najlżejsze sygnały wnętrza
słyszę wszystkie galaktyki
widzę każdą konstelację
i coraz bliżej
mleczną drogę

Ujrzałam się
w szufladzie
w trzecim wymiarze
szarej koperty
z napisem „Hanka"

Tak mnie zobaczą
ci którzy zostaną

Gwiazdka z nieba...

Spotkałam gwiazdkę
tkwiła w kałuży
i
na ratunek
wzywała niebo

Ujrzeć swoją prawdę
jak hostię w monstrancji
dostrzec jej zarys
w blasku ornamentu

uchwycić kształty
w pulsowaniu światła

nie dać jej zginąć
w migotliwym cieniu

Zamykanie:
coraz mniej przed
nami
coraz więcej za
nami
mało otwierających się drzwi
wiele
zamykających
na szczelne zamki
z gwoździmi
zamiast klucza

Ubrałam
nową sukienkę
z wystawy
i stałam się
inna
jak księżyc
zdmuchnięty
oddechem nocy

Nie z każdego źródełka
powstaje rzeka
nie każda rzeka
płynie do morza
nie każde morze
jest oceanem
ale
nie byłoby oceanu
gdyby nie źródełko
nie byłoby źródełka
gdyby nie ocean
tak daleko
tak blisko

Moja miłość majem ukwiecona
Moja miłość palmami witana
Moja miłość jak chusta zdeptana
Moja miłość szyderczo oplwana
Moja miłość rozpięta na krzyżu
Moja miłość żółcią napojona

Moja miłość pośród łotrów kona

Na zawsze
nauczyć się Ciebie
Dłońmi — zrozumieć
twarz
sercem — usłyszeć
krew
myślą — dosięgnąć
Twojej
doścignąć czas
zatrzymać czas
pokonać czas

Podwórko:

Grusza okrywa nagość
czapą zeschłych liści

Kasztan rzuca złoto
wprost w kubły na śmieci

Płot wyszczerza zęby
na koty i dzieci

Jest tu jeszcze dąb
twardo trzyma się ziemi
i rodzi żołędzie
gorzki smak życia

Tęczowy most
nad ciemnymi olchami
wiódł
srebrną łątkę
prosto
w płonący krzew zachodu

Spopielał zachód
przytyła łątka
w olchowych dziuplach
hukają sowy
spalone skrzydła
lecą
w błoto

Została we mnie polepa
mrozem szczypiąca od rana
i szczapka drewna
na ciepło
i skibka chleba
na siłę
i zaczyn drożdżowy ciasta
poprzez mrok dzieżki chroniony
codziennie zeń bochen wyrasta
codziennie świeżo pieczony

Płatami opada cisza
na mój lęk
i pamięć

Niedługo stanę jak bałwan
nad przerębla wspomnień

Różne

***

J.

Gdybyś był ziemią
chcę być twoją solą
Gdybyś był światłem
chcę być twym odbiciem
Gdybyś był ogniem
chcę być jego żarem
Gdybyś był morzem
chcę być choćby kroplą
Gdybyś był drzewem
uczyń mnie korzeniem
Gdybyś był Bogiem
pamiętaj me imię
Gdybyś był śmiercią
pójdę na skinienie

***

Lubię uspokojenie
po przeżyciu burzy

Twoja skóra pulsuje ciepłem
tchnie spokojem
pachnie sosną i wiatrem
Bezpieczna czuwam
w zakolu twojego ramienia

Pod żaglami własnych myśli
odpływamy w różne światy

Noc

Sen ptakiem
ulatuje z powiek
w mroku ośmiornica
Caprichos Goi
z wypunktowanym upiorem

I wszystkie okna
których nie otworzysz
I wszystkie drzwi
których nie zamkniesz
I wszystkie myśli
których nie wypowiesz
I wszystkie dzieci
których nie zrozumiesz
I wszyscy ludzie
których nie pokochasz
I wszystkie groby
których nie zasypiesz

W szyby stuka świt

***

Pamięci moja
wierna i jedyna
pierwsza i ostatnia
mój chlebie, moje wino
drzewo i kamieniu
świcie i zachodzie
piasku i diamencie
ogniu i wodo
piramido i labiryncie
radości i smutku

dziękuję że jesteś

***

Zachyboczę wątłym płomykiem
wśród oddechu miliona świec
upadnę liścia westchnieniem
na bezdroża alejki

kropla wosku wydrąży
mały otwór w trumnie
spłynę ciemną smużką
w ciepło ziemi

wiatry będą czesały drzewa
słońce będzie pieliło chwasty

moje oczy poczernią tarninę
krew jesienią zaczerwieni głogi
kościec wzmocni pochyloną sosnę

Non omnis moriar

Zrównać z ziemią

umarły twarze
zorane jak ziemia
umarło niebo
w mego dziecka oczach
umiera kwiatek
ten przy polnej ścieżce
i ginie pszczoła
dźwigająca miody

zrównać z ziemią

ceglanym potem
spływają wieżowce
asfalt posoką
zatyka kanały
skwerek westchnieniem
przemieszcza się w nicość
zmarły samolot
osierocił przestrzeń

zrównać z ziemią

iskierki myśli
gasną w nerwów siatce
w laboratorium
kona płomyk
        skwierczy
w aptecznych słojach
pełno teraz śmierci

Dzień

Budzik złośliwe bydlę
uruchamia taśmę
ta porywa
moje stopy
(ranił je wilgotny pył)
w kołowrót kilometrów
żwirem tkanych
moje ręce
(drażnił je brzoskwini puch)
nurza w siarczanych kałużach
moje wargi
tylko liczą liczą braki
moje oczy
tylko łakną w nienasycie
wiruję wytrwale
w drgawkach dnia

mrokiem
taśma zsuwa łachman z ołowiu
w mroczność snu
bez snów

Powroty

Spotykamy się
w punkcie przecięcia
dwóch przeciwległych

Mamy
przepołowione
twarze
przepołowione
myśli
przepołowione
oczy
sklejamy je
tamtymi słowami
są martwe
tamtymi dłońmi
nie odpowiadają
tamta cisza
huczy łoskotem pociągu
tamten bezmiar
zamyka granica

umiera miłość
na przystanku wspomnień

Dom

ścianami ogradza
taką małą ciszę
nad wzburzoną ulicą

sprzętów milczeniem
wchłania nasze klęski
zna tylko nam znaną
niszczejącą twarz

oknami
mruga przyjaźnie wieczorem
kiedy dźwigamy
koszyk pełen dnia

Krawędź

***

Cały świat
jest w nas
zdobywany w dzieciństwie
odkrywany w młodości
spleciony na dobre i złe
w dojrzałości
wątleje i blaknie
w starości
zamyka go śmierć
taka sama prawidłowość
jak życie

***

Jest we mnie cisza
wiosennego lasu
i skwar południa
dojrzałego lata
niepokój świtu
i niepewność nocy
smutek szarugi
i jaskrawość słońca
Jest we mnie wulkan
który nie wybucha
i pełna bólu
nie stygnąca
lawa

***

Od lat
traktując siebie
jako niewyczerpalne
nigdy nie wysychające
pulsujące mocno
źródło
ostatnio coraz częściej
dostrzegam na dnie
ciężko dyszącą
zziajaną z wysiłku
żabę

***

W ciszy
wiersze rozrywają skorupę
i jak ślimaki
pełzną
wprost do ziemi
zgodnie
z przeznaczeniem

***

Gdyby skroplić sny
w jak rozległej
żyłabym przestrzeni
ze ścian nocy
rosłyby pałace
wieczna tęcza
ozdabiała niebo
tylko skały
siwo oszronione
w zimny uścisk
obejmują stopy
bym nie mogła
wzlecieć w sny skroplone
bym nie mogła
zalśnić pasmem tęczy
i na wieczność
zawisnąć na chmurach
ciszy płatem
opaść
w śpiące miasto

***

Między nami morze
tyle odpływów i przypływów
że bez barometru określam
czas sztormu i ciszy
bez peryskopu
zmiany na horyzoncie
bez sondy
miarę głębiny
I trwam
w rybackiej chacie
z ręcznikiem
w słońcu haftowanym

***

Każdy z nas
nosi z sobą
kłębek Ariadny
tyle
że służy nam
        w starości
i wiedzie
w labiryncie dni
ku tym najwcześniejszym

***

Zanurzyć się
w zieleń parku
soczystą
aż do bólu
w świetlistość dróg
gorącego piasku
i lotnych cieni
w kruchą młodość
i krzepką starość
Zanurzyć się
w ciepło snu
w ciepło śmierci

Obory, 1985

***

Nie
druciany schemat
łachem okryty
z bańką choinkową
zamiast głowy
ale
kłębowisko węży
w rozoranej ziemi
nabrzmiałym węzłem
życie we mnie pędzi
i boli
jak pręga na skórze
pod wieczór
powrozem zadana
rano zapomniana
bo dzień na mnie czeka
jak stęskniony kochanek
w asfaltowej pustyni
królewskiego miasta
boję się
węży w sobie

***

Dzielę się z tobą
wszystkim
czego tknę
co na drodze
spotykam spojrzeniem
wodą
co rzeźwi
powietrzem
co żywi
myślą
co się rodzi
I tak oto
zawsze jesteś ze mną

Moskwa, 29 V 1985

***

W gąszczu nocy
zniknęła moja gwiazdka
pośród kabli i przewodów
krążymy niby w tej samej
Galaktyce
ale jakże od siebie
odległe
Wyciągam dłonie
coraz bardziej się oddala
Przyzywam sercem
zalśniła na moment
Wzywam milczeniem
(zablokowane mam struny głosowe)
Teraz sfrunęła
Odnalazła mnie
wśród kabli i przewodów
I rozbłysła
na styku anody z katodą

***

Krawędź
lodowca
wierzchołka góry
brzegu wąwozu
jest dotykalna
do pojęcia
i zmierzenia
krawędź
o której mówię
nie ma wymiaru
jest płynna jak tlen
i cieńsza niż nić
tkwi w nas
jedynie czyjaś
wyostrzona myśl
i błyskawiczna
decyzja
może ją
zarysować

***

Ach te moje
wielbłądzie galopady
codzienną saharą
powolny trucht oddechu
oazy wizyt z fatamorganą
zdrowia niby bliższego
przecież ciągle
nie do osiągnięcia
burze piaskowe bólu
jakiejś klapki
bo nie zaskoczyła
I zapachy zapachy
Wręcz widać
bogaty bukiet
zapachów
szpitalnej pustyni
Jakże się zatem dziwić
temperamentowi
mego dromadera
nawet śpiąc
wierzga

***

Przywyknąć do starości
jak do wiernego druha
polubić śmieszności
przywary i wady
znosić cierpliwie ból i urazy
wtedy i ona mądrym
spojrzy wzrokiem
uśmiech ci pośle
błyskający złotem
pocieszy młodość:
później przyjdę,
potem...

***

Płynę po wzburzonym Styksie
w indiańskim canoe
bardziej oparta o prąd
niż o nikłe wiosła
Płynę
raczej ślizgam się
po fali
ciągle sterującej
od prawego
do lewego brzegu
jeszcze tu
ale już i tam
Płynę
przesmykiem nadziei
z rozchybotanym sercem
w indiańskim canoe

***

Człowiek wymyślił czas
ale może go dotknąć
tylko jako
ziarnko piasku
w klepsydrze
Bo tak naprawdę
i czas jest nadludzki
i człowiek ponadczasowy

***

Ustawiony przy kolejnym słupku
w drodze ku nieskończoności
zniesie człowiek serie volt
(aby trwał)
tony bomb medykamentów
tłoczonych całymi dobami
respirator unoszący oddech
łamanie żeber
wyłączanie kolejnych obwodów
(dopiero teraz wiadomo
jak ich wiele)
i jeszcze to i jeszcze tamto
A wszystko
by upaść pod czyimś
nieprzyjaznym wzrokiem
zapaść w głąb
rażony nieżyczliwym słowem

16 XI 1985

***

W pozycji horyzontalnej
najlepiej widać
dłonie
i twarze
chylą się nade mną
mówią bez słów
Głoszona prawda
najczęściej nie dociera
w pozycji horyzontalnej
czuje się ją tylko
jak zapach
i ciepło
albo zimno

12 XI 1985

***

Patrzyłam
jak moje serce
wędruje do nieba
skokami
sunąc po linie
ku wysokiej skale
błękitem zygzaków
w tafli monitorów
poprzez mgłę
widziałam
jak moje serce
wędruje do nieba

12 XI 1985

***

Przywracający życiu
nim znieczulą nas
znieczulają siebie
nie tylko zmieniają ubranie
wdziewają rękawice
mózgi uzbrajają w komputery
wymieniają miary parametry
ciśnienia proporcje
rozumieją się bez słów
reagując na każdy ruch
kontaktują wyłącznie
z rozciągniętym pod tlenem
korpusem
i aparaturą
Niekiedy
patrzą w okno
z takim smutkiem
z jakim żegna się
umierający dzień

***

stukot drewniaków
werbli reanimacyjnych
na ścieżynce
dyżurka–sala zabiegowa
sygnalizuje:
życie wisi na włosku
trzech minut
błyskawice rąk i głów
zieleń uniformów
sapanie respiratora
iskrzenie defibrylatora
i cisza albo jęk
Oto efekty zawracania
z tamtego brzegu
uchwycenie nitki
w ostatnich sekundach
nim znieruchomieje mózg

***

Przez tyle lat
wiązaliśmy nitki
tkali barwne i szare
desenie
Nitki słabe i silne
jakże często zrywane
razem ze skórą
A jednak
wszystkie
bez względu
na fakturę
zwinęły się
w węzeł gordyjski
nie do przecięcia
przez żadne z nas
chyba ...
I wykazał to
moment pożegnania

14 XI 1985

***

Burza strzaskała drzewo
zerwała koronę
stoi jeszcze pień
korzeniami wszczepiony w ziemię
ale już ślepnący
i usychający bez światła
Wyrwą go z korzeniami
bo kaleczy horyzont
jak spróchniały ząb

10 IV 1986

***

Nie zmieni się
istota słów
choćby je sklejać
w najwymyślniejsze zestawy
zbrodnia i kara
miłość i śmierć
I tak oto
nawet budowanie
snu na jawie
ma swoje granice

***

Myślenie o przyszłości
coraz krótsze
pojedyncze dni
osobne i niepowtarzalne
jak puls mierzony
w wolnym rytmie serca
zima i lato
na skórze
przy zmianach jego tętna

***

Ujrzeć głęboki śnieg
zapaść się weń
po szyję
Łowić słońce
wpadające do Wisły
wieczorem
Iść ulicą Czarodziejską
podczas jesiennych
cudów
Widzieć rozkwitłą różę
w ogródku działkowym
Dotykać Twych dłoni
o świcie
Jak łatwo sprowadzić marzenia
do wspólnego mianownika: życie

Uroda tarniny

***

Dziwię się każdej godzinie
zdumiewam każdą minutą
zachwycam każdą sekundą
liczę je z niepokojem
nie jestem w stanie
odczuć w pełni
ich smaku i zapachu
znużona
bezmyślną rozrzutnością
całych dziesięcioleci

***

Rysowałam miłość
patykiem na piasku
nim się odwróciłam
ślady rozwiał wiatr

Malowałam jasne plamy
na twardym kartonie
po niedługim czasie
płomień barwy zblakł

Teraz rzeźbię
twarde bruzdy
w żywej tkance
może pozostanie
trwalszy ślad

***

czy ta piaszczysta
z cierniem
ziaren w skórze
czy ta ciernista
urodą tarniny
czy lepka potem
czy rześka od wiatru

wszystkie drogi
prowadzą
do ciebie

1988

***

Jesteś
jak wiatr
wszędzie
        obecny
zawsze
        nieuchwytny

1989

***

W muszli
twojego ramienia
odbywam
najdalsze podróże
od brzegów dnia
do konturów nocy
od schyłku ciszy
do łomotu burzy
szkoda
że nie mogę
zamieszkać na stałe
w tej muszli

1986

***

Noc
w ciepłym autobusie
pręży
w mlecznym świetle
popielaty grzbiet
Pęd
wyprzedza czas
czas
cieniem powleka
twoją twarz
Nie ma już
nas

1988

***

Kurczy się
mój świat
w wielkość
twojej dłoni

***

Młodość
trzeciego wieku
klejnot kryształu
w obręczy lasu
i zielonej łąki

z mgły snuję nitki
z szuwarów plotę koszyki
i wtykam wewnątrz
rozbiegane echo
jak spokojnie głos niesie
wieczorną godziną
coraz dalej
coraz bliżej
do ptasich gniazd
do gwiazdy nieba
i do ciebie

***

Jackowi

Jeszcze jeden dzień
w błękitnym upale
w zadumie
odlatujących ptaków
ciężkim locie kuropatw
w zaciszu starorzecza
i bogactwie
króliczego stada
        mierzony
        marszem bocianim
        i gejzerami słomy
dzień bliski
jak dotyk wiatru
i daleki
jak przypadkowa śmierć
w pożodze sierpnia

1986

***

Łowię świt uchem
dźwięk butelki
pod drzwiami
trzepot kroków
na schodach
albo ich ciężki
zadyszany oddech
szum motorów
za oknem
niepokój wiatru
w gałęziach
sąsiedzkie kłótnie
za ścianą
I ciągle
nie słyszę
twojego milczenia

1987

***

Dociera do mnie świat
przez uchyloną gazetową furtkę
jeszcze pachnie farbą
i cudzym myśleniem
niby rzeczywisty
a przecież
nie mogę go dotknąć
i pojąć sumieniem
tak odległy
jak twoje dłonie
co milczą
jak twoje oczy
dalekie i obojętne
jak twoja
wiecznie chmurna
twarz

1987

***

Biegnę przez życie
jak niewidomy sprinter
nie znając
ani startu
ani mety

1986

***

Ulotność wiatru
jest niczym
wobec ulotności myśli
rzadko staje się
rzeczywistością
chociaż żyje
w niezliczonych tomach
i miliardach słów
świat
doskonale obywa się
bez niej
tej najważniejszej
bo rodzi
istnienie

1987

***

Wiewiórka
rudą nitką
zszywa drzew
korony
pęka niebo
tysiącem
białych dymów
chyli się jawor
w zielonym ukłonie
płonie dzień
w ostatnim uśmiechu
lata

1986

***

Wzbić się
nad staw
wirem warkocza
dojrzeć wszystko
co kryje
pulsująca woda
i ciężka bogactwem
ziemia
wzlecieć
i opaść
jesienną wilgocią
na pożytek
ogrodom i drzewom

1986

***

Pałacowa noc
w wieczornej wichurze
tętni oddechem sufitu
rozmową parku
za drzwiami
mokrymi deszczu
za oknem
krokami
taśmą barwnych snów

zamyka dzień
i otwiera dzień

1986

***

Na tyle głosów
śpiewa łąka
na tylu gałęziach
wirują liście
i tańczy lotem
utrudzony ptak
i tyle chórów
słyszę w nocnej ciszy
i tyle westchnień
przerywa sen
garściami chwytam słowa
rozpędem wpadam w ciszę
nawijam kilometry
na zmęczone nogi
zawijam
wokół szyi wiatr

z całych sił
chłonę życie

1986

***

Szukam swego
wśród tysięcy głosów
nieustanną falą
wznoszących się wokół
jak echo
dawno umilkłych kroków
i tylu wypowiedzianych słów
Zwijam marzenia
w kłębek
i ciasno układam
w szufladzie
może kiedyś
dotrze do kogoś
mój zapomniany
szept

1986

***

Nauczyć się od ziemi
cierpliwości trwania
bycia sobą
zawsze i wszędzie
nauczyć się
jej ciepła i chłodu
sytości i głodu
umieć jak ona
znosić chwasty
i rodzić owoce

1986

***

Lubię wierzbę
rodzi się na kamieniu
rośnie nad byle potokiem
nikomu nie odmawia
szumu ani cienia
karmi ptaki
ochrania motyle
najwcześniej wita wiosnę
a najpóźniej
zimę
łamana przez burze
chłostana przez wiatry
żyje
ciągle żyje

11 VII 1989

***

Pomówić z bocianami
o rychłym odlocie
dotknąć jaskółki
w przelocie
poznać szorstkość
rudej sosny
i aksamit
białej brzozy
rozgrzać się
sierpniowym słońcem
przed szarugą
już jesiennej pory
napełnić oczy snem
i blaskiem
dorodnego księżyca

Objąć
klejnot gorejącej ziemi
poczuć jej smak
i aromat
pojąć
jej żyzność
i płodność

1986

***

Pustka drzemie
jak kryjące się w ziemi
demony
Wybucha wulkanem
w najmniej spodziewanej
chwili
i ani się obejrzysz
gdy cię pokryje
pył nicości — wieczności
przez pustkę poczęty
we własnym wnętrzu

***

Nauczyć się słuchać
kiedy chce się mówić
Nauczyć się milczeć
kiedy chce się krzyczeć
mocno stawiać stopy
na równi pochyłej
lekko pokonywać topiel
kiedy wciąga w głąb

można wtedy odkryć
w sobie
człowieka ponad
średnią miarę
albo
zwyczajny
pospolity strach

1988

***

odkładam epokę
książkę o martwych prawdach
które zmurszały
zanim zaistniały
epokę o zaczarowanych gwiazdach
pełnych
przebrzmiałego blasku
i zgasłego nieba

zawirowałam na moment
w świetle
skrzyżowanych szpad
uchwycona
jak owad na igłę

1990

***

Włożyłam jarzmo
jarzmo zmieniło się
w garb
garb mocno wrósł
w kręgosłup
i tak oto
zamiast iść czy stać
pełznę z garbem
na grzbiecie

1990

***

Ryba wyrzucona na brzeg
ostatkiem sił
pełznie ku wodzie
w niej szuka ocalenia
Człowiek wyrzucony na brzeg
skrzela zamienia w płuca
powietrze zmienia w ocean
piasek przemienia w ziemię
owady w żyzne ławice
słońce nawleka na maszt
i zdobywa świat
co nie przeszkadza
że bez wody
zginie jak ryba
Zatem: uwaga na brzeg

***

W cieniu
ulicznych lamp
rozpaczliwie
migocze
uszkodzony neon
tak człowiek znaczy
swój ślad
we wszechświecie

1986

***

Pierwszych rodziców
posypał niegdyś
księżycowy pył.
Dlatego
tak wytrwale
podążamy w Kosmos
jako cząstki gwiazd.

1987

***

Światło muru nocą
smuga cienia w dzień
oto rozmowa z Wawelem
tonącym w ułudzie
i ludzkim pochodzie
ku dawnym wiekom
przecież tak dzisiejszym
jak kopuła wieży Zygmunta
jak sen
na jawie

***

Nie do wiary
jak może zachwycić miasto
gdy je oglądać
znowu po powrocie
zaułek zamku
w smudze milczenia
fragmenty wieży
w skosie reflektora
wierzba schylona
nad czernią wieczoru
i Wisła
srebrna
łuskami księżyca

wiszący ogród
pod balkonem domu
i jego
przyjazna cisza

***

Witasz mnie miasto
wczesnym porankiem
festonem mgieł
nad Wisłą
kwietną młodością
w drodze do szkoły
i kolejkową zgrzebnością
rencistów
szpetną paradą
kamiennych bloków
i nagłym lśnieniem
reliefów

codziennie inne
w wiekowej świeżości
odkrywasz lądy
i wyspy
tchnące historią
pełne nadziei
i bliskie

Żegnać mnie będziesz
cieniem Wawelu
w poświacie jasnej
i czystej
portret twój wezmę
w ostatnią drogę
zamknięty
w wieży strzelistej

***

Na przebytej drodze
króluje piach
codzienność
zalewa każdą wyrwę
pokrywa wyboje
równa koleiny

piach i czas
czas i piach
nierozłączni towarzysze
mojej podróży

***

Przeminął dzień
jak koński galop
zostały
odciski kopyt

1986

Usiłowałam być człowiekiem

***

I zapyta Pan:
co uczyniłaś z życiem swoim?

O Chryste — miłowałam
nieprzyjacioły moje
O Jahwe — nienawidziłam
przeciwników swoich
O Buddo — szukałam
w stworzeniach i roślinach
śladów Twoich
O Allachu — wieczne światło płonęło
w myślach moich

A w ogóle
to tak po prostu
usiłowałam być
człowiekiem

25 II 1990

Człowiek XX wieku

Ostrzega
kikutem
schnącego
ramienia

glistami jelit
pełznącymi polem

miazgą
mózgu
wdeptanego
w błoto

I milczy
płatek śniegu
w zawierusze
ziarnko maku
w chmurze meteorów
samotna kropla
w oceanach świata

***

Jam z rodu Nomadów
Wśród gradu strzał
przebiłam się na
otwarte pole
by samotnie podjąć bój
        o godność i przetrwanie
nieważne że moje
ważne że o całe plemię
rozsiane po świecie
        tu chodzi
Rośniemy niby chwasty
zbuntowane na łanach
        pszenicy-gałki
równego wzrostu i miary
Czasem wybujałe
najczęściej perzem pełznące
nieefektowne a skuteczne
często niszczące
chociaż w perspektywie
zmieniamy grunt
przygotowując go pod
nowe uprawy
bowiem wiążemy
moce biologiczne
Niszczeni

wędrujemy w przestrzeń
i obejmujemy świeże terytoria
Spalani
żyznym prochem
zapełniamy bruzdy
Odważni niepokonani niepokorni
wędrowcy wieków i wszechświata
buntownicy
odwiecznego ładu i porządku
Nomadowie

15 I 1994

***

Rzeczywistość nie jest
tworem wiary
raczej porządkiem
        szachowym
nie rola figur
nam tu przypadła
ale dłoni
której rozkazuje
        mózg
ład przyrody
i boskie prawo
Co było na początku?

***

Rosną we mnie
wszystkie rośliny świata
Oddycham nimi
oddychają mną
budzą się wiosną
zastygają zimą
szkoda że
nie spotkamy się nigdy
na uczcie baranka
bowiem
umrzemy inaczej

***

Oderwać się
od kamieni
gotowych w każdej chwili
do miażdżącego lotu
od lodu spojrzeń
i żaru nienawiści
od ziemi skutej ołowiem
i powietrza zatrutego pyłem
od nieba
grożącego zagładą

A podobno
„tu i teraz"
nie jest dnem
egzystencji
jako rzecze Optymista

***

Oprócz prawd wiecznych
poświadczonych doświadczeniem
pokoleń
istnieją okresowe
Wtedy te pierwsze
zwie się banalnymi

12 II 1994

***

Dlaczego zło fascynuje?
Jawi się bowiem
jak meteor
w szarzyźnie życia.
Ale też jak meteor
        ginie
w zderzeniu z dobrem
na którym opiera się
        egzystencja.

1994

***

Nie wystarczy
pełzać i ślinić się
przed Jego sługą
        jeśli pragnie się być
        bliżej Boga
Jeśli Pan
stworzył człowieka
na swoje podobieństwo
chce go widzieć
na stojąco
i bez śliny

Kalwaria, 30 VI 1992

Pasjans

W szklanej kuli
zaklęta moja przyszłość
smutek bez powodu
radość bez przyczyny
prawda bez fałszu
miłość bez bólu
i zwieńczenie
bez terminu

choć kładę
pasjansa
dokładnie tasowanymi
kartami
wiem z pewnością
że we wszystkich układach
i z każdej talii
wyjdzie mi
as trefl

Oswajanie ciszy

Snuje się
taka lekka

tańczy na suficie
muska bryłę mebli
        w przelocie
kryje się w regałach
        z książkami
wieczorna cisza

tyle w niej
przeżyć dnia
ile niepokoju
nadchodzącej nocy

polubiłam
swoją ciszę
w mroczniejącym
wnętrzu kątów
pustego pokoju

***

Ileż to już razy
noc rozpinała nad nami
srebrzysty namiot gwiazd
i cieniem
to znów światłem
znaczyła różne losy
teraz
patrzy prosto w twarz
naszej niemocy

Obory, 16 VIII 1991

***

Czas stanąć pod ścianą płaczu
jak tylu wiecznych wędrowców
chociaż ściana
na wietrze się chwieje
a łza zamienia się w mgłę
pod ciosami obcych spojrzeń
pod gradem nienawistnych słów
ona jedyną przystanią
ściana płaczu
tylu wypędzonych
i odrzuconych

Kraków, 23 IV 1991

***

Na rogu ulicy
spotkałam Boga
Niósł Go w dłoniach
ksiądz do chorego
Minęliśmy się
bez słowa
A przecież
chciałabym Panie
byś uniósł w górę
moje serce
Pora by przestało
kamieniem spadać
ku ziemi

***

Zły czas dla wierności
Najpierw spowszedniała
Stała się udziałem szarych
znikła ze słownika efektownych
Im głośniej tym elastyczniej
Im kreciej
tym bliżej upragnionych dóbr
Przetrwała na obrzeżach
ale i tu ją dopadli
staje się sztandarem betonów
flagą dewotek
orderem bankrutów
odznaką przegranej mimikry
biżuterią fanów
targowiska wartości
Im drożej się sprzedaje
tym chętniej kupowana
do muzeum historii gatunku
homo sapiens
a raczej
homo politicus
watowana nicowana wykpiona
i stłamszona
cuchnie naftaliną
w wyperfumowanym wnętrzu
konieczności wymogów czasu
współczesności i pędzie ku

***

Jeden jedyny liść
trzepocze w drzewa koronie
okrywa a raczej odkrywa
nagość konarów
i ich jesienną samotność
pojedynczy liść
jak krzyk
unosi nad ziemią
wspomnienie lata
ciężar owocu
radość kwitnienia
sens przemijania
zamyka
początek i zmierzch
egzystencji

Kraków, 31 X 1987

***

Najgorzej jeśli drzazga
wbije się w mózg
zaciemnia jasność widzenia
uwiera natręctwem myśli
tej jednej nie znikającej
ani we dnie ani w nocy
i znikąd żadnej pomocy
choćby się wokół kłębiły
chóry anielskie
a nad tobą czuwał
najbardziej rzetelny Anioł Stróż
przydzielony od dnia urodzenia
aż do śmierci
bez znużenia korygujący
każdy krok
Szkoda że żadna igła
nie wyłuska jej z mózgu
dopiero lancetem przetnie
śmierć

***

Przedziwne
a przecież lubimy otaczać się ludźmi
gdy aż skowyczy samotność
toniemy w ruchliwości aktywności
tysięcznych — ości
gdy naprawdę staliśmy się
niewzruszonym głazem
wyznawanych zasad idei wartości
Szukamy gorączkowo wyjścia
        w przyszłości
chociaż dawno
zatrzasnęliśmy przed nią
        drzwi
Czy taki musi być człowiek?

***

Kiedy zaczyna się życie na niby?
Marzeniem o wielkiej miłości
koniecznie skąpanej w księżycu,
koniecznie w aksamicie nocy
szczelnie zamkniętym przed
nachalnym wzrokiem.
To miała być jedność dwojga
na dobre i złe, radość i smutek
na pohybel beznadziei
przeciw a „nawet za"
całemu światu żywemu i martwemu,
wszechświatowi, losowi, przeznaczeniu.
Ot, bunt aniołów jeszcze przed strąceniem
bo nawet w szaleństwie musi być granica.
Tylko przeciwko komu i czemu?
Tego pytania wówczas nie stawiano.
A kiedy kończy się życie na niby?
Walec drogowy równa wszystkie ścieżki,
kolce odkryły nagość różanej łodygi
w rów się osuwa zeschnięta podpora,
zanika echo łączącego słowa.
Nabrzmiała gleba pęka suchym piachem,
nawet anioły lecą w przepaść z trzaskiem.
Osiągnąć trzeba szczyt zarozumialstwa
albo w doznaniach dorównywać Bogu
aby przed światem odsłonić swe myśli
i szukać dla nich zrozumienia.

20 VI 1991

***

Wiara dziecinna padła na papieskich progach...
Juliusz Słowacki

Upaść by krzyżem
na asfalcie szosy szybkiego ruchu
dla odkupienia
przekupniów pod murami
faryzeuszy w świątyni
bezczeszczących Drogę Krzyżową
z Pietą złamaną bólem
dla odkupienia
serca tych wszystkich
którzy je na pokaz rozwiesili
na ścianach kaplicy
pod złotą koroną
dla odkupienia
zniewolonej chłopskiej duszy
śniedzią pokrytej
erozją co dzień zżeranej
i człowieka
który potrafi wznieść się tak wysoko
jak nisko kiedyś upadł
zależnie od poczucia
własnej tożsamości z Bogiem
dla odkupienia

odzianych w dżinsy kapłanów
brzdąkających na gitarach
w takt jarmarcznego rozgardiaszu
na dziedzińcu średniowiecznego klasztoru
Tu jak na dłoni widać
śmierć istoty w rozkwicie pozorów
tego co z Ewangelii znalazło się
poza nią
nachalną propagandę funkcjonariuszy
w każdej rozecie
politycznych gobelinów
Umiera prawda Ewangelii
w pełnym świetle jupiterów
przyspiesza się proces erozji
Tłum jak na Titaniku
w sanktuarium pusto
msza w niemieckim języku
katalog chrześcijańskich wartości
sam dla siebie Panem
dziecinnie polna
zgrzebna wiara
pada krzyżem
na asfalcie drogi szybkiego ruchu

Częstochowa, 7 V 1990

***

Z trudem wyrywam się
spośród cudzych myśli
Ślepo błądzę
pośród cudzych słów
Gubię się
w stosie zeschłych prawd
skrzętnie kryjących
czyjeś żale i radości
Chmurę popiołów
rozwiewa wiatr
Pod nią spoczywa skarb
mój własny niepowtarzalny znak

Wisła, 8 IV 1991

***

Tę miłość zrodził
czerwcowy zmierzch
kryliśmy ją w sobie
kryliśmy w szczelnym cieniu
lśniła w tym cieniu
jak najczystsza łza

żegnaliśmy ją
u progu najdłuższej nocy
zgasła jak meteor
podniósł ją
upadły anioł
i roześmiał się
w głos

28 IX 1988

***

Złota Matko Częstochowska
czemu nie napełniłaś
miłością
serca mojej Matki
Najbliższe
a przecież tak odległe
żyłyśmy
na tej ziemi
niby odrzucone
przez stado
wilczęta
w śnieżnej głodnej
nieogarnionej
przestrzeni

Częstochowa, 5 VII 1990

Ojczyzna

skorupka ślimaka
wrastająca w grzbiet
każdemu
kto się urodził
na tej ziemi

***

A najwspanialszy jest szczur
krąży przesmykami pudeł
pełnych rynkowych łakoci
pomiędzy zwałami
maślanych kostek i innych
światowych rozkoszy
w czapce niewidce na uszach
wąsatym nosem trafia wprost
w pożądliwe ręce konsumentów
zamiast

Kraków, 23 IV 1991

***

Aksamit miedzy pod stopami
wetknięte w zieleń
złoto rozchodnika
klękam
przed wierzchołkiem nocy
światło dnia
powiekami zamykam

1990

***

Och ta materia wyobraźni
wetkniesz zapałkę zajaśnieje
zorza
wetkniesz drewienko zakwitnie gałązka
but wysłużony stąpnie
pantofelkiem
jest jeden człowiek wkrótce będą
tłumy
mizerny płotek rośnie w mur
ogromny
nikły promyczek rozbłyskuje
słońcem
i wszystko razem w białą mgłę się stopi
kiedy bezsenne otworzymy oczy

8 VI 1991

W Boże Ciało

Im wyżej
wznosi się monstrancja
tym ciszej
umierają pod stopami
kwiaty

18 VI 1992

***

Barwę zmienia las
i barwę zmienia uczucie
Ale późną jesienią
i zimą
drzewa pozostają
takie same
bezbronne w swojej nagości
podobnie jak
niewygasła miłość

1993

***

Wnukowi Marcinowi

Trudno dać świadectwo prawdzie
tak się codziennie zmienia
że tylko strzępki z niej zostają
w szumie mass mediów
i zanikającej pamięci

Ta moja prawda
nikła jest i wstydliwa
w zgrzebny płaszcz przyodziana
do żurnalu nie przylega
nie jest modna
może dlatego
budzi wyrzuty sumienia

To niepopularne
ale nie wyrzekam się
swojej prawdy
nawet dla sławy
i „dobrego imienia"

Szklarska Poręba, 13 V 1993

***

Wnuczce Annie Agacie

Rozmowa jak
w V Symfonii Beethovena
z milknącym echem
zanikającego motywu
w rozległej frazie harmonii
Do mnie docierają
raczej pojedyncze
w gęstwinie dźwięków
Tyś cała poddana
bogactwu harmonijnej fali
Słuchamy koncertu
i każda słyszy siebie
Ja na końcu
Ty na początku drogi

Październik 1993

***

Oglądam siebie
cudzymi oczyma
i zadziwiam się
nie sobą ale
życzliwością z jaką
na mnie spoglądają

Dostrzegam wtedy
morze ułomności
i wyspy zalet wręcz
nie do odkrycia
szczątki wartości
wciąż roztrzaskiwane
i skamieliny zasad
losem utwardzone
ułudne mary
rozwiane marzenia
lśniącą świeżogę
bariery lodowca
trochę nadkruszoną

Dobrze jest
patrzeć na siebie
cudzymi oczyma

Bezpieczniej

28 X 1993

Dziecięca zima w Bieszczadach

Lutowy śnieg
wybiela dziecka drogę
Bóg obdarzył je życiem
i codziennie krzyżuje głodem
a Matka Boska Gromniczna
błądzi wśród zasp
i gromnicą wabi wilki
stopy
kruszą szron
bolą uszy
w podmuchach zawiei

1993

Przedwiośnie

Łysinę lasu
czesze uparty kapuśniak
Pełzną w dolinę
strumienne ulice
powiewają nad głową
chusty nieba błękitne
chmury plamią je
pierzem i solą
śnieg ze wstydu
kryje się w rozpadlinach
i dołach
a marcowym confetti
czarno-białe jaskółki
zasypują
jeziora i pola

***

Lubię rozmawiać
z niegdysiejszymi mieszkańcami
zamku wawelskiego
dzieli mnie odeń
ulicy Konopnickiej
taśma ruchoma
i misterna kratownica konarów
kasztana
Kiedy o zachodzie
wiślaną mgłą goszczą
na moim balkonie
mówimy o tym
co łączy
milczymy na dzielące
nas tematy
(po wiekach zblakła purpura
zaledwie głaszczą
pańszczyźniane baty)
Dobrze się nam oddycha
wieczornym spokojem
pod wzgórzem wawelskim
nad Wisły zakolem

***

Dotrzeć
do miasta zza mgieł
strzępów opowieści
sezonowych strycharzy
wędrujących murarzy
Zamarstynowa i Kliparowa
Zbliżyć się
do wspomnień
o zamku
na wysokiej górze
szlaku Wałów Hetmańskich
mrocznej katedry
i oazy parku
w rozgwieździe ulic
Dotknąć
szarfy wieńca
na grobie Konopnickiej
żywego kwiatka
mroźnej bieli
na murze pomnika
Łyczakowskiego Cmentarza

Wszystko to się spełniło
trzydziestego listopada
Przybyłam do miasta ze snu
stanęłam na bruku ulicy

Zaistniał Lwów

1989

***

Spływa wieczór
gwiazdą betlejemską
na schylone w ukłonie
topole
ogarnia domy i ludzi
i stęsknione za śniegiem
rozorane pole
milkną ptaki
milknie wiatr
w przelocie
dźwięczy cisza
lodu soplą
na spotkanie nocy

24 XII 1992

***

Stokrotka
pierwszy uśmiech wiosny
ostatni — jesieni
zakwitnąć by
stokrotką
w kieszonce
Twojej koszuli

Obory, sierpień 1993

***

Najpełniejszą ze znanych mi przestrzeni
jest czas figura geometryczna
do wszechstronnego zastosowania
zasobna w wielorakiego rodzaju
trójkąty kwadraty prostopadłościany
nawet stożki i walce
można je dowoli dzielić
mnożyć odejmować i dodawać
Wtedy z abstrakcji powstają
byty niepodległe
a wśród nich nasz własny i niepowtarzalny
niepodległa przestrzeń
do zagospodarowania

9 VI 1993

Rozmyślanie po latach

Człowiek służy znakom
obojętnie
plus czy minus
najważniejsze
by czuł się
panem tego znaku
i w jego imieniu
decydował
I kto wtedy rozpozna
czy to plus czy minus
Zwykle odkrywa prawdę
dopiero historia
i okazuje się
czemu rzeczywiście
służył człowiek

22 XII 1989

Krzyk lelka

Rozmowa Marii z nocą

Pamięci Marii Radzikowskiej

Mówili wszyscy że jesteś czarna
a ty masz tyle odcieni

Ale nie jestem kolorowa

Czasem jak łąka na wiosnę

Bo chcesz widzieć wiosnę

Pewnie że chcę ale teraz zima

Zima? Ponad czternaście stopni
w słońcu nawet siedemnaście

Może dlatego że mnie stale zimno

Nie przesadzaj przecież nie drżysz z zimna

Ja nie tylko moje ręce

Podaj dłonie moja czerń jest ciepła

A nogi
tak trudno je rozgrzać lodowate

A głowa

Już ją otulam aksamitem wnętrza
Pomyśl zasypiasz latem
Jestem tylko twoją nocą
Wszystkimi miesiącami roku
już nie jesteś sama
w tę zimową porę
ogarnia cię jasność a nie cień
bądź spokojna i szczęśliwa
jam twoja najpiękniejsza noc
twoja cisza i siła
nie mówisz a możesz oczyma
powiedzieć wszystko
słyszę cię i rozumiem
przybywam twoja najwierniejsza
przyjaźń i ostoja
jestem patrzę wprost
w twoje oczy
i słucham
daj znak

4 I 1988

***

Przydrożna kapliczka
spękana poorana
szara jak skorupka
włoskiego orzecha
wewnątrz ziarenko
to Frasobliwy
Na rozstaju
pod lasem
drogę wskazuje
wędrownym ptakom
i bezdomnym ludziom
W plątaninie pajęczyn
snuje różne losy
i oddala
złe przygody

29 IV 1989

***

W ulewie słońca
strzelisty maszt
unosi w niebo
nawę klasztoru
Przypływ
oceanu kroków
pochodu ku nieskończoności
tak niedostępnej
jak wiekowe skarby
wewnątrz Jasnej Góry
To miłość
pochyla głowy
i ugina kolana
mrok murów
odziewa w wotywne szaty

Wota nie do przeliczenia
jak nie do odkrycia
są wnętrza
pielgrzymich serc

Częstochowa, 7 V 1990

***

Zbaczam
w lewo z bulwaru Wisły
naprzeciwko Norbertanek
w ledwo widoczną
wąziutką dróżkę
ciemnego tła
i już
ulica Czarodziejska
płomienie głogów
czerń owoców bzu

w brokacie sadów
pożodze winorośli
majaczą
zarysy domów
w cieple ciszy i słońca
kwitną rzęsiście ogrody
drzemią koty
bawią się
dzieci i psy

jeszcze szkło cieplarni
jeszcze powrozy olszyny
i już
alejka kaliny
wiedzie prosto do
Domu Spokojnej Starości

Przymusowy przystanek

Postoje przy płocie
to nie są przystanki „na żądanie"
Kiedyś moja ręka
nie utrzyma sztachety
albo poręczy mostu
i osunę się
w pył chodnika
No cóż
„z prochuś powstał..."

18 V 1993

Zabłąkana kolęda

Błądzi kolęda
pośród ciemnej nocy
szuka szczęścia
po bezdrożach losu
    diamentu wtopionego w śnieg
    świętojańskiego robaczka
    w egzotycznym mroku
    przyjaznej iskry
    w sercu bliźniego
i ciepła
w lodowej pustyni
dla nowo narodzonego

10 I 1994

***

Cierniowo
układała się
moja droga
Najeżona kolcami niedostatku
raniła klęskami chorób
i uwiądem marzeń
ale twardniała skóra
i odwieczne
przekorne kto kogo
Tylko serce słabło
No cóż — niekoniecznie
słabość
to siła

Listopad 1993

***

Woskowy
portret własny
coraz częściej
gości w wyobraźni
Pełen spokoju
majestatu
a raczej wewnętrznej pogody
równie nieprzewidywalnej
jak uśmiech jesieni
Mój woskowy wizerunek
układa się w pamięci
potomnych
chociaż portretowana
wolałaby jeszcze skinąć
gestem pożegnania
może rzeknąć słowo
cierpliwemu uchu
I dotknąć oczami nieba

27 IX 1992

***

Wielostronnie można patrzeć
na strukturę kryształu
Albo olśniewają
cię kształty
albo szukasz
źródeł olśnienia
i związku między
kształtem a światłem

Tylko kultura
tworzy stop
poruszamy się wtedy pewniej
na szosie
choćby to były tylko
światła odblaskowe

Luty 1993

***

Co dzieje się
z białym krukiem
w gromadzie czarnych?
To samo
co z białym
pośród czarnych orłów.
Taką lekcję historia
powtarza przez wieki.
Niestety, niewiele nas nauczyła.
Czyżby tępota uczniów,
niemoc nauczycieli?
A może jedno i drugie?

***

Podwika przesłania
kobiece usta;
ośmieliły się rzeknąć:
„Rex Auguste
iudica iuste!"
przed majestatem sądu.
Czy byłaś Judith wojującą
czy małą kobietką
z przekory przeciwną
niedoskonałym sądom?
Jeśli tą pierwszą
— gniewnie zacisnąwszy wargi
zdławiłaś głos
lnianą przesłoną,
by nie wybuchnąć
nadmiarem odwagi
nieprzystojnej niewieście.
Jeśli drugą
— muślin przesłonił
półuśmiech w pełnym przekonaniu,
że rozbroisz gniew króla
i mężów
oczu błyskiem
i powabem radośnicy.
W wawelskim kasetonie umilkłaś tylko na moment
prawie pięciuset lat.

I dobrze wiesz,
że zawsze dyktowałaś i możesz dyktować swą wolę
rządzącym
nie wydając dźwięku.

1993

Na wystawie

I

Wrzosowiska Kornwalii płoną fioletowo
kłębi się groza nad murami zamku
mrocznym jak bogowie wieczorową porą
Ogród angielski
fragment wiktoriańskiej cnoty
i elżbietańskiego rozpasania
z trawą wystrzyżoną na grzywkę
(ten widzę w wyobraźni)
Och wyspo
marzenie tułaczy
ze wszystkich portów świata
Tyleż w tobie bezpieczeństwa co i udręki
słodkaś dla swoich
i gorzkaś dla obcych
zielona skalna wrzosowa i mglista
na starych płótnach

George Marland: „Odpoczynek wędrowców"
John Crome: „Krajobraz wiejski"
John Constable: „Krajobraz wiejski",
„Krajobraz z chatą"

II

Pąsowa dama
spojrzeniem ciemnych oczu
wyrywa się z ram
ku wiecznemu smutkowi
Nie chroni przed nim
purpura okrycia

Sir Thomas Lawrence: „Portret kobiety"

III

Marzenia zawsze są jednakowe
Marzy dżentelmen w kapeluszu
i młodzieńczyk z głową w loczkach
widać to w spojrzeniu
i uśmiechu warg
pod kapeluszem pełnych
i w ledwie wygiętym łuku ust
młodszego chłopca
Zachowali je w czas klęski zarazy i głodu
To piękne że trwają z tym samym uśmiechem
i najtajniejszym marzeniem
przez tyle wieków
Młodzi aż do końca świata

Kraków, lipiec 1993

Daniel Gardner: „Portret chłopca"
James Juskipp: „Portret śmiejącego się chłopca"

***

Do nieznajomego
gapiącego się
na mnie w podróży

Nie z braku odwagi
odwróciłam wzrok
chociaż konwenans
zabrania rozmawiać oczami

Po prostu unikam śmieszności

Grudzień 1993

Egzystencjalne pytania

Cóż począć z żywym,
jeśli czuje się martwy?
Jak przeżyć własne zmartwychwstanie
i spełnić obietnice
składane umarłym?
Jak wymóc zgodę na siebie
i zawrzeć z sobą przyjaźń?
Czyżby niepodobnym było
pokonanie własnego czasu?

Maj 1994

***

Najpiękniej modlić się
pod drzewem
Modlitwa drzewa
jest strzelista
koroną sięga nieba
Jest najgłębsza
korzeniami sięga
samych trzewi ziemi
I jest bezinteresowna
Tylko chwali Stwórcę
własnym istnieniem

Zatem prozaicznie
sadźmy lasy
aby modlitwa
nigdy nie ustała.

Obory, 8 VIII 1994

***

Pamięci
Tadeusza Nowaka

Czarna kobieta z naprzeciwka
ciężko skłoniła głowę
zahukała sowa
zawołał lelek
przez twarz księżyca
przemknął cień
nad zroszoną łąką
zadźwięczała kosa
z żalu
drży osika
To ona rankiem
wypuściła z dziupli
śmierć

Obory, 26 VIII 1991

W wakacyjnej skali

1.
Jak tu cicho
na zakręcie

milczą wieże transmisyjne
spokój wieje z linotypów
umilkł stukot telegrafu
i ostatnia kropka milknie

zanurzone w Złotych
Piaskach
drzemią serca żurnalistów

2.
Z morza
wyrasta skała
Skała
odziewa się w zieleń
i ramionami
obejmuje słońce
a my
paciorkami
przetykamy piasek

3.
Chusta z brokatu
szmaragdowych drzew
i rudych dachów
        okrywa góry Albeny
        frędzle zanurza w morzu
a wierzchołkami
słucha gwaru
        Europy
w klęczących hotelach
purpurowych kawiarniach
i szeleszczących
        „zielonych"
w ogródkach
pod fontannami

4.
Krawędzią
        wody i nieba
        suną okręty
są tak odległe
jak oczy starych ludzi
radość
w czarnych cyprysach
        i złudne
        niczym mokry ślad meduzy
        na wysychającym piasku

5.
Jak długo
bułgarska dziewczyno
twoje oczy
uczyły się smutku
że w tanecznym słońcu
czarnym szalem
zakrywasz morze
i krzykiem guerozy
wołasz
o ratunek

1980

***

Adwentowe noce
coraz ciemniejsze
adwentowe czuwanie
coraz niecierpliwsze
I tylko niezmiennie trwa
odwieczna tęsknota
za jasnością dnia
i jednoznacznością
dobra i zła

14 XII 1994

***

Anno Domini 1995
spotkałam Dziewczynkę z zapałkami
Ciemność ulicy
rozświetlał
neonowy błysk
Na rzęsach
płatkami tańczył śnieg
Na wigilijnie
przystrojonej wystawie
pastorał
świętego Mikołaja
wystukiwał
rockandrollowy rytm
Dziewczynka z zapałkami
dreptała do taktu
w piąstce ściskała złotówkę
i pożerała oczyma
tiarę świętego z marcepana
inkrustowaną migdałami
Święty kosztował
dziesięć złotych

10 I 1995

***

Mirtowe drzewko
w domu starego człowieka
Jakże rozrósł się mirt
z okienka mojej Matki
gdzie czekał
na postrzyżyny
z okazji
kolejnego wesela
ścięta mirtowa gałązka
wróżyła nowożeńcom
długie lata życia
w zdrowiu i pomyślności
O szczęściu nie było mowy
Wiedziano że nie wyrośnie
na mirtowym drzewie
a nawet w mirtowym lesie

14 XII 1994

Wspomnienie Wilna

1.
Kremowa biel
ścian wyścielanych atłasem
złocone stiuki wnętrza
nawa okrętu
w smudze tęczy
górskiego kryształu
płynąca w niebo
nie wiedzieć czemu
wyobraźnia wskrzesza
proroczą wizję
Piotra Skargi
o okręcie ze strzaskanym sterem
płynącym wprost
ku skałom
Barokowe cacko
na Antokolu
i Rossa
najpiękniejsza nekropolia świata
niemi świadkowie
spełnionej wizji
ostrzegają

2.
Góra Giedymina
kłania się Rossie
a Rossa Giedyminowi
ukłon ponad czasem
trwa wiekami
w północnym mieście wzgórz

3.
Ziemia niebotycznych dębów
kryje szmaragdy jezior
czuwa nad tajemnicą kamienia
Górą Giedymina
wotami Ostrej Bramy
rodzi chleb o stu smakach
weselne kołacze obrzędowe szyszki
najgęstszą ze znanych śmietanę
bory pełne krasnoludków
i grzybów
latami żywiących rody
Ziemia genius loci
poezji i tęsknoty
chmurna mocarna niezwyciężona
Wileńska Ziemia

1994

O kolumnie Trajana
(53-117)

Może twoje oczy były zielone
może twarz schłostaną przez wiatr
zdobiła męska ogorzałość
Nie wiem
Dziś ze współczuciem spoglądam
na oblicze zżerane przez trąd
czasu i kwaśnej wilgoci
kiedyś twoje oblicze
Najświetniejszy Optimusie
władco świata pięciu mórz

9 II 1995

***

Sylvii Plath

Czy Ty ziemię
czy ziemia Ciebie
tak pokochała
że nie mogłaś
        oprzeć się tęsknocie
i uległaś
przemożnemu pragnieniu
        powrotu?

Nigdy nie odpowiesz
na to pytanie
        Trzydziestoletnia
ani nikt
z podążających
ku samounicestwieniu

bo ziemia
to nie tylko życie
także śmierć

po niej
milczenie

23 IX 1992

Stygnąca kipiel

***

Dobre dłonie Marii
w ołtarzu Wita Stwosza
błogosławionym gestem
niosą spokój
udręczonym zgryzotą lękiem
i poczuciem winy
błogosławią
wiernych wątpiących
i nękanych niewiarą
rozjaśniają oczy
nadzieją
na tym łez padole
chociaż nikt
z wpatrzonych
w pochyloną głowę Matki Chrystusa
żywym do nieba
nie wstąpi

Listopad 1993

***

Niebywale ciężko
dźwiga się kruchość
własnego ciała
Może nie tyle dźwiga
ile znosi
Bo nieprawdopodobne
ale nogi odmawiają
        chodzenia
uszy słyszenia
a oczy aż do bólu
wbijają się w mgłę
i nie mogą jej
        przebić
Najtrudniejszy do pojęcia
jest jednak ciężar oddechu
Powietrze odpływa
niezmierzonym oceanem
poza wszystkie horyzonty
i ten najbliższy
pod stopami

30 XII 1993

***

Powiało wiedeńskim walcem
nad wieżą
katedry Świętego Stefana
Jakże wyniosłej
w tłoku nisko stłoczonych kamienic

W muzealnych koronkach wnętrza
plejada gwiazd najpierwszej jasności
Rembrandt Rafael Tycjan Rubens
Bruegel Dürer Velázquez
z pochmurną Infantką
w barokowej bombce
która znowu wróciła do łask mody
i poszerza biodra niemieckich Frauen
angielskich misses, francuskich mademoiselles
i wszystkich kobiet świata
szukających chłodu
pod czaszami parasoli
ulicznych kawiarni

W Hoffburgu gwar
pałac cesarzy oblężony
zwykli zjadacze kanapek
uwieczniają się na tle
aż ze zgrozy jeży się etykieta

Tylko konie kiwają głowami
nad marnością przemijania
Z cesarskich powozów
małe Murzyniątka rzucają papierkami

14 V 1993

***

Płaczą
ścięte drzewa
nad Oborami
gdy księżyc krąży
ponad śpiącym stawem
szkoda
że nowe
nie może być
starym

28 VIII 1988

***

Pada śnieg
kroplami ciszy
na mokre plamy asfaltu
czarne kominy
dachów z naprzeciwka
w obrysy drzew
z pękającymi pąkami
w letnią zimę
pada
biała cisza
dzwoni w uszach
wspomnieniem dzieciństwa
o przedwiośniu z płatami lodowca
nad ukrytą w gęstwinie śnieżyczką
uśpionym w jarze zawilcem
i niebieską przylaszczką
w sąsiedztwie jałowca
mokra cisza
nad wieczorną ulicą
niesie zapach i obraz
przecież
bezpowrotny

***

Człowiek
po spotkaniu ze śmiercią
inaczej myśli
i inaczej czuje
jest kroplą wody
pod mikroskopem
sterylnie czystą
laboratoryjną ciszą
ścisłą dokładnością
aptekarskiej wagi
samotną wieżą
i wiszącym mostem
lodowym soplem
i gorącym źródłem
lotnym motylem
i ciężkim metalem
nieodkrytym lądem
i bezmiarem wody

Tyle widzi
nowych możliwości
ile niemożności
spełnienia tego
co można
dokonać samemu
i już na własny
wyłącznie rachunek

Samotność w sadzie

cukrem pudrem
obsypane wiśnie
na obrzeżu
białe brzozy
anioły
z rozpostartymi
        skrzydłami
pilotują
lot pociągu
puste godziny
prószą
popiołem

***

Można schłodzić uczucie
jak mleko czy inny płyn
ale to nie znaczy
że zmieni się jego istota
dalej mleko pozostanie
mlekiem
a woda wodą
zanim
nie zamieni się
w lód

8 IX 1991

***

Pamięci Janusza Gaudyna

jakimż cierniem
Przyjacielu
Cię zraniono
Jakiż strzał ugodził
odsłoniętą skroń
Jakiż piorun
strzaskał
Twą dębową siłę
żeś wichrem
wypadł z wieży
sercem budowanej
i bezskrzydłym kształtem
objął bruk

Wiosenne nastroje

W Rzymie skazańcy
idąc na śmierć
składali Furiom w ofierze
narcyzy
i wieńczyli nimi
obficie swe torsy
aby narkotyczna woń
łagodziła ból ukrzyżowania

a we mnie
białe gwiazdki z kryzą
w czerwone punkciki
budzą nadzieję
a ich zapach
nową miłość
nie dziwcie się zatem
że parafrazując Wierzyńskiego
nóżki narcyzów całuję

Kwiecień 1993

Wołanie zza chmur

kryształowy dźwięk
wiatru a może deszczu
wezwanie do lotu
a może ucieczki
albo tęsknoty do
czegoś względnie za kimś
kogo nigdy nie było
        i nigdy nie będzie
kto jeszcze się nie urodził
lub zamilkł za życia

I to wołanie zza chmur
zza oceanu
tak mocne że odrywa
od ziemi od nieba
od ognia od wody
wołanie trawy wołanie błyskawicy
wołanie pioruna i laserowej wstążki
zimnego płomienia
gorącego lodu
i wszystkich kontrastów
jakże licznych w doczesności
milknącej nagle muzyki
stygnącej kipieli
stężonej perfumy
Nagle ucichł odbiornik radiowy

Luty 1993

Straszna ze mnie konserwatystka

Podziwiam ludzi
ufnie przyjmujących
dar serca z rąk kardiologów
Natomiast nie wiem
jak nazwać coś
co każe mi trwać
przy moim sercu
mojej wątrobie
moim mózgu
chociaż to wszystko
wymaga wymiany
Czyżby rzecz w tym
by nie stać się
grającą szafą
i składem części zapasowych
ułożonym na podstawie
katalogu danych
w magazynach roztrzaskanych
pojazdów i ciał
montowanych dłońmi
genialnych chirurgów
w wehikuły pędzące
ku niewyobrażalnej wieczności?

Straszna ze mnie konserwatystka

Marzec 1993

***

coraz głośniej krzyczy
moje milczenie
w zawierusze
różowo kwitnących drzew
w spalinach alei
i jednakowo spotniałych bluz
na chodnikach
aż ciasnych od dziwacznie
wykrzywionych butów
w niepokoju
rozwiewanego czaru styropianu
nad cieniami fabryk
i tłumem
opuszczonych rąk
z czarnymi teczkami
w ciszy kątów
dyszących upałem
i pustką

ten krzyk dławi
ale już nie boli
ból jest tylko
dla żyjących

12 VI 1992

Cyganie

na dźwięk słowa
zamyka się cisza
tabun wozów
cwałuje w niepokój
ucho czujnie
łowi każdy szelest
ale kotły
śpiewają pyrami
ale las się
u nóg moich
łasi
ale kora
smagłością
barwi skórę
i twarz
tańczą duchy
w uroczyskach
tańczą gwiazdy
przy ogniskach
tańczy para
w końskich pyskach

tabor rusza w świat

***

Oglądając grafiki Goi

„Gdy rozum śpi
budzą się upiory"
i ten najgroźniejszy
który mieszka w tobie
choćbyś go nawet
na wieczność oswoił

***

artysta średniowieczny alchemik
warzy ze słów w kotle wyobraźni
napoje omamy
tka ze snów baloniki uczuć
latawce obrazów
w wazie niepokoju
osadza kruszec myśli
grudki doświadczenia

***

Sekstusowi Propercjuszowi
(ok. 47-16 p. n. e.)

Jak to się dzieje,
że spotykamy się
myślami po dwu tysiącach lat?
Że twoje słowa
spośród miliardów innych
nagle znalazły
drogę do mej wyobraźni
i zajaśniały
pełnym sensu blaskiem
w popiołach przeszłości?
„Miłość jest sama dla siebie
najsilniejszą karmą"
„Nie wszystko ze śmiercią się kończy"
I „Przestań, Paulusie,
mój grób niepokoić łzami" —
Tymi słowy
pragnę niekiedy przemówić
do żegnanych w alejkach cmentarnych:
tak bardzo nierzeczywiste
i przypadkowe wydaje się
ich odejście.

Październik 1993

***

cząstki dnia
cząstki pragnień
cząstki różańca
wirują tęczowo w mroku
rozszczepione
pryzmatem kryształu
modlącym
jawi się świat
barwną ułudą
jak nadzieja
w nieuleczalnej chorobie
jak ulga
w nieustającym cierpieniu
agnostycy
beznamiętnie
chłoną piękno

1994

***

Oj przeszłoby się przeszło
raz jeszcze najbogatszą drogą świata
wysadzaną diamentami szronu
skrzącego w świetle księżyca
Tylko że śnieg przestaje w grudniu padać
i księżycowi niesporo wychynąć
z zalegających niebo
deszczowych chmur

14 XII 1994

***

U narodzin dnia
lampy jakby słońcem świecą
a uśmiech brzozy
rozjaśnia brzask
Ptaki po ludzku
się skarżą
na przymrozkowy los
I tylko ziemia
czeka stęskniona
na śnieżne
zimy ramiona

Borków, 6 XI 1994

***

Piosenka białej brzozy
nic nie traci
na swojej świeżości
chociaż wieki
dzielą ją od narodzin
piosenka białej brzozy
poczęta z zachwytu
nad światem
i jego
wiecznym trwaniem

14 IX 1994

***

Na marginesie pewnej dyskusji

Samotność to odchodzenie
zamglone kształty
i milknący dźwięk
samotność to oczekiwanie
na coś co przyjdzie
jak odległy gong
i zamierający dzwon
Samotność to słabość
ale i siła
to inny rodzaj trwania
ponad czasem
ponad ludźmi
ponad sobą
w nieokreślonej
nie do ogarnięcia
przestrzeni
wiecznej jasności
której nie dosięgnie
mrok

25 XII 1994

***

Kiedy grudniową nocą
brnęłam w zaspach
by zdążyć z Ojcem
na wigilijną wieczerzę
w odległej
leśnej sadybie
łasił się do mych nóg
odwieczny strach przed wilkami
nie mogły mnie dopaść
ani one ani żadna
zła przygoda
moja dłoń bezpiecznie tonęła
w twardej prawicy Ojca
jedynej ostoi
w dalekiej drodze
do ciemnego lasu
i osypanej diamentowym księżycem
przydrożnej choiny

14 XII 1994

***

Bóg Ojciec
na witrażu
wizjonersko wznosi
wszechwładną dłoń
wskazuje
czas narodzin i śmierci
Zależnie od kąta
padania światła
i spojrzenia widza
przy chrzcielnicy
widać tęczę
przy katafalku
ostateczny sąd
Niestety
punkt widzenia
nie od nas zależy

1994

„Koniec naszego świata"?

Otwarta rana
w murze kamienicy
poszarpane kamienie
na cmentarnych ścieżkach
zalewane nienawiścią
prawdy Ewangelii

A pamięć ciągle trwa
i w którymś pokoleniu
zalśni szczerym złotem
spod pokrywy błota

Listopad 1992

***

Czymżeż poezja?
Moim bólem,
Moim lękiem
I moją nadzieją

24 X 1985

***

Istotę Dobra i Zła
kryje diament.
Nie da się
jej odkryć
bez rozbicia.

1994

***

Posiwiały brzozy
oszroniały wierzby
nad mogiłą mego Ojca
żołnierza trzech wojen
który nie doczekał
ani orderu
ani szczytnego miana kombatanta
chociaż walczył
po słusznej stronie
w 1920 roku
I tak o słuszności
nie decydują ordery

Sierpień 1993

***

Chciałabym
oprawić bursztyny
Zamknąć w srebrze
pojedyncze łzy

Cień Ozyrysa

Cień Ozyrysa

Słuchając „De Aegypto"
Ezry Pounda

I

Niepokój cienia
głos puszczyka
szmer oddechu
Ozyrys gotowy
spokój na już
martwej twarzy
Duchy ważą
dobro i zło
Opada wzniesione ramię
Ozyrys niezmordowanie
podąża przed siebie
wbrew nieustannym wichrom
i rozlicznym przeszkodom
przemierza niebo
mierzy światło
Prosi o pomoc
dobre uczynki
wyznaje winy
a raczej zaprzecza
by coś złego uczynił
nikt nie cierpiał
nie płakał przeze mnie
Ozyrys podąża w światło

Precz uciekają cienie
Przez czerń zaświatów
przebija nie głos
tylko jego barwa
lśni w jasnej mroczności
I dalej wciąż dalej
jakby studnia nocy
nie posiadała dna
Oddech opada płatami
Trzepocze się ćma
Umarli przerywają taniec
Ozyrys zanurzony w jasności
rodzi się po raz wtóry
W świetle wieczności
doszedłszy kresu swego
Obmyty łaską miłości
bóg życia
i wieczności

Och ten samotny
ptaka jęk
zamierający krok
jak gasnący dzień
jak pierzchający mrok

10 XII 1995

II

Już bije w niebo
świeża zieleń
Ozyrysie
Już sokolica
otrzymała
żyzny dar
Snuje się jeszcze
mleczna mgła
nad światem
i zapłodniona cisza
błogosławieństwem
ciąży trwa
Zmartwychwstajesz
każdym pędem
Ozyrysie
każda cząstka
twej Izydy
to miłości dar

Darmo Set
podąża twoim
śladem
darmo pragnie
twe istnienie
zetrzeć w miał
zmartwychwstajesz
każdym świtem
Ozyrysie

każdym świtem
Oby wiecznie trwał

Obory, 2 VIII 1996

III

I kroczysz teraz
drogą słońca
Ozyrysie
Potnieją ci dłonie
z czoła ciecze
pot
nad siły wycieńczony
przecież unosisz twarz
i z nadboskim wysiłkiem
szukasz nieba
Bądź pozdrowiony Ozyrysie
za moment słońce
ześle ci wodę
i wiatr
i niedosiężną ciszę
która nadciąga
już nad świat

Forchheim, 30 III 1996

IV

I pokonałeś mgłę
Ozyrysie
Słońce znowu rozjaśniło
oczy
wśród listowia
błyska biel pierwiosnków
fioletową pieśnią
rozbrzmiały krokusy
Nie tylko w Egipcie
wiosna
Ozyrysie

28 III 1996

V

Nie kończ dziś
swej podróży
Ozyrysie
chociaż Isis
ramiona otwiera
i wabi pocałunkiem
pośród trudów drogi
Jeszcze ta droga
nie zakończona
jeszcze pociąga tajemnicą
niespełnionych marzeń
Przed tobą
najkrótszy jej odcinek
i zakryte skarby
wszystkie do zdobycia

Nie zniechęcaj się Ozyrysie
nie zważaj na przeszkody
rozjaśnij
zachmurzoną twarz

Forchheim, 6 IV 1996

VI

Płyniesz teraz
srebrnym Nilem
Ozyrysie
Fala wzbiera
i użyźnia
wokół brzeg
Boskie czoło
wiatr orzeźwia
twoje ciało
łódź kołysze
burzy krew

Ciemna chmura
spływa z nieba
groźnym grzmotem
budzi lęk
fala wzbiera
sen ulata
czuje się
wieczności wiew

Jeszcze wiosło się zanurza
jeszcze syren
wabi śpiew
ale niebo
czerni chmura
ale burza
wznosi pięść

Obory, 7 VIII 1996

VII

Łan się pod deszczem
słania
bezbronnie przyjmuje
grad
ziarno na umór spite
pęcznieje wypada
z ram
Już się nie złoci
pszenica
srebrzyste żyto
pokrywa rdza
Dzień w dzień
mżawka siąpi
dzień w dzień
gęstnieje mgła

Smutnym polem
kroczysz ciężko
Ozyrysie

zboża powlókł
twój mocarny cień
żeńca śpiewu
nigdzie nie usłyszysz
w mroku utknął
obolały cierń
ptasi orszak
opadł w gęstwę tarnin
przytłumiły
ich beztroski gwar
nad mokrymi łanami
nad polem
Twoim cieniem
rozciąga się żal

I słotne lato trwa
nieba nad ziemią
łza

Obory, 1-7 VIII 1996

VIII

Czy to tylko
mój cień
czy już
schroniłam się w Twoim
Ozyrysie
Pełno w tym cieniu
jasności nie do
nazwania

nadziei napięcia
i tęsknoty za tajemnicą
której nie pojmie
świadomość
bo
tak rozproszona
między gwiazdami
na nocnym niebie
w zapachu wody
rybnych stawów
i łąki usianej
płatkami stokrotek
dziś jeszcze zielonej
ale wkrótce rudej
niczym wiewiórcza
kita
przesycona słońcem
w migotliwym biegu
do kolejnego
śpichlerza
laskowych orzechów
Zbiera je
i gubi nieustannie
jak człowiek
gdy zostawia wszystko
kiedy zmierza
ku świetlistej mecie
jak Ty
ku wieczności
Ozyrysie

12 VIII 1996

IX

I już nowa burza
rodzi deszcze
Ozyrysie
Drzewa szumią
stubarwnymi cekinami
i zmierzchają
porzucone w piachu
liście
Twoją drogę
znaczą plony
zbóż obfite
sady pełne
dojrzałości lata
Ty nie sięgasz
po owoce trudu
Ty omijasz
dostatki jesieni
Twoja droga
prowadzi w zaświaty
ponad przepych
oraz marność
każdej nowej chwili
Nie przeszkodzi
Ci w wędrówce
ciepło rosy
ani zawęźlony
włos jesieni
Ani Isis
łzami znacząca
każdy krok

Twego losu
żadna siła
nie odmieni
Twą wędrówkę
rychło podsumuje Ra

21 VIII 1996

Tatarskie prośby o świcie

1.
O boski wichrze
który napędzasz
i rozpędzasz chmury
O brzemienna chmuro
zrodzona z obłoku
lekkiego jak ptasi puch
i włosy dziewczyny
nasyć wilgocią
wyschnięty step
O trawo szumiąca
odwieczną pieśń
szlaku zroszonego
łzą matki
żegnającej syna
galopującego w świt
smaganego przez wiatr
po chleb swobodę i miłość
rośnij wysoko
nadzieją powrotu

2.
O czarna skało
skąpana w wiecznej mgle
czuwaj nad jurtą
kołyską dziecka
urodą owcy

i snem jagnięcia
Nad tabunem koni
ich nocnym lękiem
gdy wilki wychodzą na żer
Jeśli zawezwiesz
wtedy mnie
powrócę
choćbym kamieniem
na szlaku legł

3.
O piachu pustynny
tylekroć rozwiewany
tysiąckrotnie przesiany
czesany codziennie
przez słońce i wiatr
Zakryj na zawsze
Na całą wieczność
mój odciśnięty
na szlaku ślad

4.
O drogo usiana głazami
na pamięć poległych
w pochodzie
bądź mi wierna
bądź przyjazna
aż do końca
moich dni

3 IX 1996

***

Januszowi Roszce
w dniu pogrzebu na Salwatorze

I oto spoczęła
na Tobie
pieczęć ziemi
I Bóg ormiańskich
praojców
szeroko rozwarł ramiona

23 II 1995

***

Na wystawie Moore'a

I oto okazja
by ubrać w twarz
tę grupę
postaci z marmuru
a może z brązu
W twarz z uśmiechem
a może z grymasem
bólu smętku zgryzoty
A dlaczego nie
w twarz z sarkazmem
z ironią wobec przemijających
mód
pogoni za sławą
opinią śmiesznego
zblazowanego krytyka
który nie patrzy
a widzi
nie słyszy a śpiewa
epitafium na zgon
klasycznej rzeźby
na oczach milionowego
tłumu telewizorni
Zajmę miejsce w kątku
przymierzę kilka twarzy
na tej szlachetnej w rysunku
rzymskiej głowie

12 III 1995

***

Sama wobec ciemności
Czy w niej się skryć
czy stanąć odważnie
        twarzą w twarz
zawsze ciemność
będzie taka sama
nigdy nie stanie się
        jasnością
Dlaczego zatem
tak uporczywie
dociekamy
tajemnic ciemności

9 IX 1996

Metafizyka

Gdy dłoń wyciągasz
chlebem się zapełnia
księżyca pełnią
A twoje stopy
w niebo cię unoszą
poranną rosą
Brzozowe drzewa
leciutko się chwieją
i nisko kłonią
najczystszą bielą
Dzień się rozpoczął
raną
obrazu Chagalla

15 IX 1996

***

Czy Syzyf
kiedykolwiek przeżyje
taką radość
jak Herakles
po wyczyszczeniu
stajni Augiasza?
Bogowie stworzyli go
do wysiłku.
Czyżby wysiłek
stanowił powód
radości?

***

Syta radością
jest pszczoła
dźwigająca miody
I człowiek
kiedy widzi
owoc swego trudu
albo początek
nowej drogi
Niewiele różnimy
się od pszczół

***

Ta obcość
— ból odrąbanej ręki
i palonej żywym ogniem
skóry
Obcość w oczach
skrzących nienawiścią
obcość całodobowa
nie do pokonania
nawet przez śmierć
Bo czymżeż śmierć?
— Życiem inaczej

24 VIII 1996

***

Ten pochylony
nad stawem pień
z postrzępioną
przez wiatr czupryną
to bóg Sędzimir
leśny wróżbita

Wpatrzony w zamulone dno
bezbłędnie przewiduje
pogodę i deszcz
świt i noc
co do minuty
nadciągającą burzę

Sędzia pokoju
rozsądza waśnie
nakazuje zgodę
łagodzi ból
siejąc zieloną nadzieję

24 VII 1996

Matka...

Pierwsze ciepło
po termicznym szoku
urodzenia
pierwsza kropla
na łaknących wargach
i atłas skóry
pod dotykiem dłoni
pierwszy błysk światła
w niewidomych oczach
i szept imienia
wypowiedzianego
niepowtarzalnym głosem
pierwsze schronienie
w kolebce ramion
i sen bezpieczny
w bezmiernej ciemności
Matka
szczęśliwa wyspa
pośród oceanu
gdy się doń zbliża
znużony rozbitek
i wszystkie skarby
jakie czekają
w oazach pustyni
na spragnionego
tułacza

Matka
ta jedna wieczna dla ciebie
i w tobie żyjąca
w niepokoju nocy
i ulewie słońca

...i dziecko

Takie maleńkie
a przesłania świat
bliskie do bólu
i dalekie
jak znikający punkt
za horyzontem
niewidzialna nić
silniejsza niż czas
i śmierć

21 V 1996

***

Lubię wnętrze świątyni
Jak to dobrze
że przynajmniej tu
Pan przestaje się
z nami bawić
w chowanego
Tu też na pewno
wiadomo że
ukrył się w tabernakulum
abyśmy Mu dali
wreszcie
święty spokój
Przestańmy zatem
zanudzać Go
skargami i prośbami
On sam dobrze wie
czego nam potrzeba
Lepiej słuchajmy uważnie
jak kadzidlana cisza
wiecznie wielbi Pana

Olesno, 7 III 1996

***

Są dni ołowiane
pod ciężarem których
ugina się wiatr
a świat olbrzymieje
obcy i ponury
Wtedy tylko
twoje oczy
rozpraszają mrok
i wątłą kładkę
zamieniają
w bezpieczny most

***

Michałkowi

Opowieść w jambach
ci przesyłam
aby zabrzmiała staccato
kiedy już
podjąłeś marsz
niechaj cię wspiera
niechaj w tobie
trwa
twoja młodość
i siła
a w nich
i ja

28 III 1996

***

Ziarnko piasku
porzucone w lesie
kiedyś powróci
do rodzimej pustyni
przywieje je wiatr
wieczny tułacz
wciąż przebiegający
świat
i szukający z uporem
ziarnka piasku
upuszczonego
kiedyś w lesie

30 III 1996

***

Niegdyś o poranku
pozdrawiało się
ptasie skrzydła
gdy wielbiąc Pana
wzlatywały w niebo

Dziś o tej porze
sługa porządku
w skupieniu zbiera
porzucone przez matki
aniołki

Czyli niekoniecznie
skrzydła lecą ku niebiosom
niekiedy — spadają ku ziemi

12 II 1996

***

Ptakiem ulecieć
choć skrzydła nie te
sercem zrozumieć
wichrów zawieruchę
nie dać się burzy
porwać w czarną nicość
dostrzec jej ciszę
i pogodę błysku
kiedy nad nami
piorun ciosem się unosi
ptak wszystko zniesie
ptak wszystko oswoi
ptak do gniazda
wróci
choć się burzy boi

12 II 1996

***

To pięknie
gdy śnieg pokrywa
rozwiane marzenia
umarłe nadzieje
wspomnienia które bolą
brudy które przetrwają
pod śniegiem
i ożyją wiosną
i czas
ten nie przemija
trwa
jak ważka
uwięziona
w bursztynie
Czas
trwałość w każdej ulotności

3 I 1996

Leśny dom

Mchem otulony
brzozą rozjaśniany
Ściąga niebo
na sosnowy mrok
przyjazny
z dłonią ku tobie
skierowaną
ofiaruje ci wszystko
co posiada
ożywczą ciszę
barwność opowieści
i serce w oczu
błękicie ukryte
Dom Marii
we Frankońskiej Szwajcarii

Forchheim, 28 III 1996

O Mario

mieszkanko pokoiku
o zasłonach z samodziału
pełnego pamiątek
dobrego człowieka
przyjaznych książek
starych fotografii
rzeźby z węgla
i brzozowego pucharu
Przyjęłaś mnie serdecznie
obdarowałaś
finezją senną
i przyjaźnią domu
Bądź pozdrowiony
leśny duchu
Nadal czuwaj
nad snem
Ukochanego

Forchheim, 4 IV 1996

***

i układam kruche
odrobiny serca
w tabliczkę dawno
roztrzaskanej prawdy

Przywiązujemy się
nie tylko
do ludzi rzeczy
piękna myśli
i obrazu
nawet do kiedyś
przez nas wymyślonych zdań
Może z powodu kruchości
egzystencji?
Tak łatwo ją zdmuchnąć
by szybowała nad nami
lotem owoców dmuchawca
i drżących nitek
babiego lata
pod pocałunkiem
porannej i wieczornej rosy
Bo wszystko istnieje
o tyle o ile
narodzi się
w nas

8 IV 1996

***

Kwiatki szmatki
ptaszki draczki
(małe — draki dwie)
Jakież wygibasy
wyczynia w swym biegu
natura języka
Nowy rodzi się
ze zdumienia
złośliwości
chęci odmiany
wreszcie nudy
a potem
wiruje bryluje
żartuje
(wszystko na uje)
albo się urywa
urwa —
ot, choćby biurwa
Kijem Wisły nie zawrócisz
choćbyś nim jak najdalej rzucił
a on sam najgłębiej się zanurzył
Tak i my
nurzamy się w
warstwach języka
szukamy w nim

nowości i wartości
ze zmiennym szczęściem
Czasami wychodzą
gadki szmatki
czasem mowa trawa
ale niekiedy
zalśni „radośnica"
i jakże się nią
nie zachwycać?

Oda do miasteczek

— klejnocików
w oprawie zieleni
i surowych w rysunku
alpejskich ogródków
Swoją dumę
zaklinają w gotyku
a wierność
w ciągu pokoleń
Tylko tu wiadomo
kto z których
Gurgaczów
które domy
należą do Krawczyków
I kiedy panna poczęła
Miłosierdzie wybacza
jeśli ślub nie nazbyt
okazały
Ale nie daruje
jeśli panna włożyła
wianek z lilii
Wtedy pamięć o skandalu
przetrwa wieki
Tu mieszkała...
wskaże przechodniowi każde dziecko
nieświadome sentencji

przechodniu powiedz Sparcie
Który to napis głosi chwałę poległych
A przecież w wypadku panny
mówimy jak najbardziej
o żywych

8 III 1996

***

W oczach padającego
pod ciosem
wieże kościelne
wygrażają niebu

***

Chwytałam świetliki
gasły
gdym zamykała dłonie

Na śmierć tuberozy

Białe łzy tuberozy
pokrywają ciemną
powierzchnię stołu
Pod mokrym dotykiem
matowieje blask
Umiera tuberoza
płatki całunem
pokrywają zmierzch
dusza zapachem
ulatuje w niebo
Pięknie umierają kwiaty
płynnie zmieniają
byt w niebyt
albo przechodzą
z bytu w byt
jako rzecze
metafizyka

16 I 1996

Wszyscyśmy z Wujka

Już w wyobraźni
kształt języka boski
Ziemia mrocznieje
i jaśnieje światło
Z łacińskich szatek
ledwie obnażony
w żupan się odział
przaśny język polski.
Wszyscyśmy z Wujka
przed nim czapki z głowy!
To dzięki niemu
pachnie kwiat lipowy
do widnokręgu zmierza
połać łanu płowa.
Dźwięczy przypowieść,
perli się rosa.
Wznosi nad nami
śmierci srebrna kosa.
Stary świat zmywa
swój grzech pierworodny,
w bólach się rodzi
świat nowy
ludzi wolnych.

22 VII 1996

***

Ewangelia wg św. Mateusza 8,20

Liszki mają jamy
i ptacy niebiescy gniazda,

pszczoły lepią plastry,
mrówki mrowisko
przed deszczem uchroni,
ślimaki domki dźwigają
na grzbiecie,
pająk ochronę
znajdzie
w pajęczynie,
lilia przed chłodem
w kielich się otuli

a syn człowieczy nie ma,
gdzie by głowę skłonił

22 VII 1996

***

I ukazał mu się Pan w płomieniu ognistym
z pośrzodku krza: i widział, iż kierz gorzał,
a nie zgorzał.

Księga Wyjścia 3,2

Ogniem rozgorzał
krzew na pustyni
i Mojżeszowi
przyniósł objawienie
Odtąd wszystkie drogi
wiodą Izraela ku Palestynie
utraconego Edenu
narodu wybranego
przez Boga
na wieczną chwałę
i wieczne cierpienie

A krzew goreje
prawieczną pamięcią.

22 VI 1996

***

Radość życia
radość pracy
radość tworzenia

Istnieje też radość
zmęczenia
kiedy widać owoc
podjętego trudu
I dlatego
wiecznie cierpi Syzyf

2 XI 1995

***

Wolność...
o czym tu mówić,
kiedy od niemowlęctwa
krępują ci nogi
i nawet po śmierci
ciasno układają
w trumnie.

***

Im głośniej
o sprawiedliwości
tym niżej
ścieli się
ludzka krzywda
tym słabiej słychać
płacz
źle urodzonych

15 VI 1995

***

Daremny bunt
przeciw urodzeniu
Faktu nie zmieni
żadna rewolucja
Tkwi w głębi
i zawsze weźmie odwet
choćby cię losy
pchnęły na wierzchołek

14 VI 1995

***

Kwiaty nad ziemią
korzenie pod ziemią
Korony barwą się pysznią
podnóża popiołem zmierzchają
I znowu dwie strony
jednego medalu
Jedność przeciwieństw
na użytek władców

13 VI 1995

***

Krzyżmem namaszczone powieki
krzyżmem osłonięta twarz
a przecież niczego
z krzyża nie ma
w tych starczych oczach
drwiących nieustannie
z siebie
czy z nas?

23 V 1995

***

O czym świtem ptaki
rozmawiają z drzewami?
O życiu.
Dla drzew długim,
jeśli nie padną pod piłą
albo zjedzone larwami.
Dla ptaków
o wiele krótszym.
Byłaby to smutna rozmowa,
ale nie jest,
bo drzewa tłumaczą
ptakom,
że długie życie
także im zawdzięczają.
Dlatego las
chociaż cichy
jest także głośny.
Trwa tu
nieustająca rozmowa
o sensie istnienia
i istocie przemijania.

1995

***

Kropla miłości
jak kropla wody.
Czy wydrąży skałę?
Prawdopodobnie,
mawia doświadczenie.
W każdym razie
nie różnią się w tym,
że przynoszą rześkość
spragnionym
i radość
pognębionym.
Kropla miłości
rozjaśnia mrok,
kropla wody
gasi pragnienie.
Jak woda
tak miłość —
bez nich
niepodobna
żyć.

27 V 1996

***

Jak daleko może
        sięgnąć oswajanie?
Czy na wzór egipski
przenieść się mamy
        wraz z całym majdanem
        na tamten świat
czy wiecznie wirować
        po indyjsku w chmurach
        kroplą deszczu wzbogaconego
        pyłem uzupełniać oceany
czy poddawać się
po chrześcijańsku
procesowi mineralizacji
przez dwadzieścia lat
z perspektywą zmartwychwstania?
Chyba jednak najlepiej
chłonąć ostatnie godziny
całą potęgą woli życia
i wierzyć
całkiem po laicku
że jednak komuś i czemuś
to życie na pewno
        służyło

9 III 1996

Ogród ostów

Pejzaż podmiejski

I

Muzyka ślepca
błądzi schodami
proszalnym gestem
dotyka klamki
dławi melodię
radio sąsiada
odtrąca ślepca
trzask zamykanych
drzwi

II

Wisła o postrzępionych
poranionych brzegach
niesie plamy oliwy
tęczówki topielca
nocą
ściąga na dno
lampy i gwiazdy
odkrywa
okna z cudzą intymnością

III

Poezjo, skrzętnie omijasz
masarnię z mrożonym mięsem
zagrypioną aptekę
czarne składy z węglem
rynek cuchnący cebulą
narożną kręgielnię
śpiąca w wawelskim zaułku
wtulona w strzelistość gotyku
nie umilasz życia
umorusanej dzieciarni
zalatanych
niemodnych żon
mojej
robotniczej dzielnicy

1968

***

Ponad
prezesury
        profesury
        prezydentury
najważniejsze jest
własne nazwisko
W istocie
żaden tytuł
nie doda
(ale też i nie przesłoni)
mu blasku
jeśli sam
nie uczynisz go
światłym

28 IX 1996

***

W tym samym dniu
zamknęła oczy Babcia
tego samego dnia
ujrzał świat wnuk
Taka sama wiosna
tak samo zakwitały jabłonie
i perliły się kwiatem
pachnące akacje
Babcia żegnała dzień
prawnuk witał wieczór
tym samym
pierwszym i ostatnim
tchnieniem

19 IV 1996

***

Dźwięk słowa
dźwięk ciszy
i milczenie kropli
gdy spada
z ostatnim tchnieniem
ściętej trawy
w błysku poranka

***

Nie rozliczę się
z tylu
wypowiedzianych słów

Utonęły
w milczących wypowiedziach
niedowidzących oczu
jak zwiędłe białe róże
symbole przemijania
w jesiennym ogrodzie

22 XI 1996

***

aurea mediocritas
nieosiągalny złoty środek
kiedy się kocha i myśli
miłość nie zna umiaru
myśl nie znosi ograniczeń
wszystko jak
na huśtawce
w górę i w dół
w dół i w górę
nie ma mowy
o złotym środku
W bezruchu nie ma huśtawki
to tylko stołeczek
zwisający
na wyciągniętych
ramionach

15 X 1996

***

Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy

Żałujemy nie tylko róż
także ginących lasów
i róże i lasy
umierają ostatecznie
nie ma tu różnicy
tyle że rozległość
pożegnań
bywa nieproporcjonalna
i czas umierania
jakby się przedłużał
dla róży — o dzień
dla lasu — o wiek

16 XI 1996

***

Cudownie mieć
na własność rok
(z jednego roku jesteśmy)
Zagospodarować go
po swojemu
przedłużać
szczęśliwe dni majowe
letni czas
skracać dowolnie
jesienne słoty
wiosenne szarugi
sypać śnieg
na co brudniejsze
        podwórka
i podziwiać kwiaty
na każdym skrawku
        zieleni
nurzać się w słońcu
i otulać wiatrem
rozpalone czoło

Wszystko jest możliwe
gdy ma się na własność
        rok

11 X 1996

***

Dlaczego powstaje
czarny humor?
Aby powstrzymać
wzniesiony miecz
albo uchylić tors
przed skierowaną w nas
zatrutą strzałą?
Fontanną tryska
czarny humor
wśród skazanych.
Jakby szlachetniej
się umierało...

***

I jak tu nie witać
serdecznie jesieni
skoro nas
owocami zaszczyca
i rozrzuciła
wszystkie dary
na rudziejących
trawnikach
że skraca dzień
i słotną porę
zapowiada?
Że mrokiem sypie
w popołudniowe
godziny?
Wszak wszystko to
przygotowuje nas
do zimy
najwspanialszego
wypoczynku
kiedy na chwilę
umiera świat
a raczej
żyje inaczej

12 X 1996

Zaduszki

Przywoływane cienie
jakby przywdziewały kształty
tych którzy odeszli.
Czy naprawdę?
Przecież trwają
w słowach myślach pamięci.
Nasi zwykli nieśmiertelni.

18 XI 1996

***

Osiemnastowieczna lipa
rośnie nie tyle wysoko
co głęboko
splątując wierzchołek
swych gałęzi
z gęstwą korzeni
Pod przez wieki
wznoszonym dachem
chroni zakochanych
przed wścibskim spojrzeniem
użycza cienia
przed skwarem
ochrania przed
deszczem wędrujących
I nieustannie
głosi chwałę
holenderskich mistrzów
ogrodniczych
Bądź pozdrowiona
przyjazna lipo
niezwykły darze natury
i ludzkiej dłoni

Forchheim, 29 III 1996

Do NN

Jakież żądło
poraniło twoje serce
jakiż jad
przeniknął w głąb
że drżącymi rękami
wyrywasz pęki bratków
z darniny
szarpiesz wyrzucasz
na cmentarną ścieżkę
i depczesz
Co się stało
że twoja nienawiść
przekracza granice śmierci
Biedna kobieto
ukochana przez fiołki

Kraków, 28 X 1993

***

Jak to jest
kiedy pod dłutem artysty
ożywają cmentarze?
Zwyczajnie
Po łysinie Rzymianina
deszcz spływa potem
W załomie strzaskanej zbroi
czai się mrówka
by drugiej odebrać łup
jajeczko owadzie
Rozrzucone torsy wojowników
Krwawią ranami marmurów
bo już ucichła
starożytna bitwa
i „przechodniu powiedz Sparcie..."
Gdzieniegdzie
wije się jeszcze
bluszczyk kurdybanek
nieśmiertelny
na cmentarzu minionej sztuki
zmartwychwstałej na chwilę
za sprawą rzeźbiarza

Lubniewice, 12 IX 1993

Przed płótnami Rembrandta

W mroku śmierci
światłem błysnął ból
Ciemną purpurą znaczy się
cierpienie
„krwawe ognie
drżą w wodzie
głębokiego Styksu"
Cień i światło
pytają wszechświat
o istotę życia
i istotę śmierci
Zadają ciągle
to samo pytanie
na które każdy odpowiada
z głębin własnej samotności

1993

Impresja z wystawy — żart

Sen Wernyhory
nagle brutalnie przerwany
bilionami impulsów
komputerowej wystawy
Wbrew spodziewaniom
nie zakłócił
majestatu Starca
szokiem współczesności
Pewnie że poddany
bitowym wstrząsom
na moment zastygł
z przerażenia
Pewnie że niewidzące oczy
przenika wieczny niepokój
o czasy i ludzi
poddanych myślącym maszynom
Ale myślę
że zgodnie z potrzebą chwili
obecnej — pozostanie
przedsiębiorczym optymistą
Po prostu
wykorzysta komputery
do wróżb o przyszłości

Grudzień 1993

O współczesności pod wpływem lektury Norwida

To oczywiste
że my Polacy
umiemy najlepiej
walczyć za naszą i waszą
cierpieć za miliony
jako przedmurze
imponować światu
czarować i balować w Europie
by nas po wieki wieków
pamiętała i podziwiała i żałowała
jako że „polska inteligencja
jest bez butów i jej nie ma"
a nade wszystko
że „Nie umiemy różnić się pięknie"

26 V 1993

***

Słońce powleka skórę
ciepłym lukrem
Sękate pięści sosen
wygrażają niebu
Żółknie nieprzyzwoicie
pijana latarnia o świcie

Błądzi po Muszynie
łemkowski poeta
W Sopocie krzyczy słowik
Eurydyko Eurydyko
Nowy kościół wessał kędyś
nową szkołę

Ścieżka pod Niewypałem
wiedzie w stare okopy
ciche i puste
podczas akademii
A zboże pokornie czeka
skłonione na miedzy
A piece hutnicze
łunami parzą z daleka
Pędzą pociągi przez skwar
Samoloty budzą świtem chmury

Poeci otulają wszystko
letnim szalem

1964

***

1
quidquid id est, timeo
Danaos et dona ferentes
nie pierwsze to ostrzeżenie
jakie bogowie zesłali Trojanom
ustami Laokoona
przed ostateczną zagładą

Nie zginął z synami
kapłan Posejdona
chciał ocalić ziomków
ale nikt nie wierzył
zaklęciom wybrańca
który znieważył
swoje powołanie

2
Dobrze wiedział wąż
dlaczego objął
śmiertelnym uściskiem
trójkę Laokoona
To fakt że kapłan
zdradził Apollina
i okrucieństwo bogów
nie ma granic

bo „nie będziesz miał
bogów cudzych przede mną"
choćby to były
twoje własne dzieci
ból musi być
na miarę zdrady
A nie masz większego
niż widzieć śmierć syna

3.
I tak oto
ostrzeżenie Laokoona
do Trojan nie dotarło
Po raz tysięczny któryś
okazało się
że nieważne co
ale kto mówi

1989

***

„Jedyną odpowiedzią
na grób dziecka jest
położyć się obok — jak martwy"
Saint Geraud (Bill Knott): *„Poemat"*,
tłum. Krzysztof Boczkowski

Dzięki ci losie
że jeszcze żyję
choć już
dawno miałam umrzeć

dzięki ci losie
że moje nogi
dotykają ziemi
choć mogłyby
nigdy nie czuć
jej twardości

dzięki ci losie
że moje nieszczęścia
są szczęściem
wobec tego
co dotknęło innych

Oszczędź mi losie
koszmaru
wcześniejszego odejścia
tych których kocham
Niech będą ze mną
w ostatniej godzinie

16 III 1990

Rozmowa z synem

W świecie gdzie nagle
oczy znikają z ludzkich twarzy
prawdy ważone subiektywną wagą
młodość zamieniają w starość i odwrotnie

gdzie słowa ranią szkło
myśl sięga czwartego wymiaru
autobusy biegają stadami
a spaliny zatruwają sen

gdzie uszy lękają się grzmotu
a w „wostoku" lodowieje słońce
gdzie traci sens dane słowo
a mali ludzie rosną sprawami jak grzyby

gdzie dla wielu amen nie zmieniło brzmienia
a traci się twarz przed lustrem historii
i monopol widzenia zmienia barwę obrazu

gdzie pułkownicy obrastają w brzuchy
poetom płuca pękają w kawerny
a deszcz spokojnie zmywa strontowy pył

szukaj sam w sobie bezpiecznego schronu

1963

***

Niemowlęta w becikach
uśpione morfiną
aby nie cierpiały
wyrzucane przez okna szpitala
miękko uderzają w bruk
choć minęło pięćdziesiąt lat
od likwidacji getta
Świadkowie
nigdy nie gaszą światła
w mroku pokoju
zalegającego kąty
ciągle lśni jak gwiazda
niklowa pięćdziesięciogroszówka
w dłoni chłopca
zastrzelonego na murze
gdy niósł pieniążek
umierającej matce

Eli Eli
lama sabachtani

Kwiecień 1993

Pochód cieni

Na czele oczy Doroty
dwa jeziora
o podwójnym dnie
i uschłe gałązki
rączyn Bajli
zadeptane
w bezimiennym rowie
miliardy
kostnych szczątków
płyną mgielną nocą
fosforyzując
w neonowej mżawce
smuga widziadeł
formuje pochód
nad głazami
dźwigających
trumny symbole
Spadają gwiazdy Dawida

***

Czy Giordano Bruno
spłonął w płomieniach kwiatów
czy kwiatach płomieni
nim dopłynął
do Kopernikowego morza gwiazd
Oto jeszcze jedna zagadka
którą rozwiewa wiatr
i szczelnie okrywa
ołowiana mgła historii

9 X 1993

***

To ty Janie Sebastianie
w krysztale świeczników
w czarnym fortepianie
obudzony dłonią małej damy
(takiej wdzięcznej naiwnością
takiej mądrej niewiedzą
tak spokojnej w niepokoju)
prowadzisz do zakładu Pogodnej Starości
gdzie jednooka siostra czarodziejka Circe
miłosierdziem okrywa stukilowe uda
precle niewładnych nóg martwe oczy w pergaminie
skóry

Tak tu wiosennie w tej trupiarni
tak tu pachnie niebem i lizolem
tak tu chłodno pod krzyżem kaplicy
kratami dzielącej żywych od jeszcze żywych

Broń mnie Janie Sebastianie
broń ich Janie Sebastianie
tych wszechmocnie dzielących szczęście
prawa i domy
przed zastrzykami wody fizjologicznej
przed łaską białych kornetów
przed szpilkami nastolatków
nakłuwających
wzdęte brzuchy ojców

1964

***

Nad „Nienawiścią" Wisławy Szymborskiej

Czy nienawiść to tylko
„motyw schludnego oprawcy
nad splugawioną ofiarą"
i „bystre oczy snajpera"
Dla mnie nienawiść
to małe zawistki i nienawistki
rodzące się codziennie od nowa
w oczach które cię nie widzą
bo nie mówisz tym samym językiem
choć to polski
nie nosisz takiego samego
czarnego krzyżyka
i nie unosisz rąk w takim
samym modlitewnym geście
choćby twe serce
bliskie było Pana
Zaś najważniejsze:
nienawiść wielu podpiera
w drodze do celu
a jest nim władanie innymi
dla własnej pychy i wygody
Tak mi się jawi
jej istota

10 VI 1992

Salome współcześnie

Nie o głowę Chrzciciela jej chodzi
gdy domaga się złotej misy
O części zamienne
do transplantacji
by je przechować w lodówce
na czarną godzinę
gdy zwycięży w tanecznym turnieju
i serce odmówi posłuszeństwa
Ot, zabezpiecza się
na wszelki wypadek

21 XI 1996

***

Nie mówi się źle
o zmarłym
to hańba lżyć
bezbronną pamięć
na cmentarzu chowamy
przecież nie zwłoki
a człowieka

24 VIII 1991

Wariacje na temat...

Szkarłatny blask cienia upadł
w sam środek gorejącej pustyni
zakwitł w ruchomej siatce
koronkowych krat haremu
oczami czekającej na miłość
dziewczyny
i zgasł
z odejściem Almanzora
ze wzgórz Alpuhary
gdy w „gruzach legły
Maurów posady"...

„Hiszpanie męstwo
cenić umieją"
półksiężyc błysnął
nad ziemią Afryki
zastygł w Caprichos Goi
Guernice Picassa
zalśnił na włóczni Don Kichota
i przetłuszczonych włosach Dulcynei
„patrzcie o giaury"...
Mauretania żyje
gorącą falą sirocca
w kastanietach Carmen
i mantylach andaluzyjskich piękności

O słoneczna Andaluzjo
słodka winem
spragnionych oczu dziewczyny
w misternych konstrukcjach
sztuki islamu

Kraków, 18 VI 1992

Do mojej córki

Zobaczyłam Cię nagle
zupełnie inaczej
Porwałaś ciężki kosz
i wyprowadziłaś obcą staruszkę
z labiryntu autobusowego dworca
przerażoną ruchem
i nagle wyrosłą estakadą
pewna bezpieczeństwa
zostawiłaś nas wszystkich
widziałaś tylko jej strach
Och Ty najlepsza cząstko
mojego serca
Dzięki że się urodziłaś
wbrew wszystkiemu i wszystkim
że bez namysłu ruszasz na ratunek
kierowana najpierwszym impulsem
że jesteś

Sanok, 15 X 1994

***

Kiedyś Hades
w trakcie rozlicznych zatrudnień
pozwolił sobie
na chwilę wytchnienia
usiadł strudzony
na brzegu Styksu
i westchnął
Tak powstała sól
Tyle w niej
osadu zmartwień i znużenia
ile odwiecznej tęsknoty
za wewnętrzną świeżością

Źródełko

Jaskółka upuściła
zielony listek
potrąciwszy w locie
wierzchołek góry
I zapulsowało
pod miedzą źródełko
dar matki ziemi
dla wszystkich spragnionych
w skwarze lata
pośród kłębowiska
ścieżek i dróg
Jeszcze go wczoraj
nie było
Dzisiaj
krople napełniają
kielich dłoni
oracza żniwiarki
i dziecka
Jego oczy drżą
w lusterku żywej wody
zadziwione
nagłym cudem
nowego istnienia

14 I 1994

Anno Domini 1994

W zalewie słów
o chrześcijańskich wartościach
w gęstwie kadzidlanych dymów
przesłaniających nędzę
zarzuca się
czarny całun
na otwartą ranę
gorejącego serca Chrystusa

W noc wigilijną

1
Kiedy wierni na pasterkę
tłumnie suną do kościoła
mnie na odległe rozstaje
samotny Chrystusik woła

Kiedy ulewa srebrników
rozgłośnie brzęczy na tacy
przyjmij ode mnie Dzieciątko
parę przygarści kaszy

Nim wszystkie owe brzękadła
duszpasterz dokładnie zliczy
niechaj choć jedno stworzenie
swój głód grudniowy nasyci

2
Twoje gniazdo Chrystusiku
ukrył rzeźbiarz wśród tarniny
głogami je przyozdobił
koralami zimy

Niosę Ci teraz w dani
wieniec z czosnku i cebuli
niech Cię broni przed wampirem
przecie żeś taki nieduży

3
Składam u Twych bosych stóp
talonowe małe butki
pochowasz w nich wszystkie smutki
swoich już dorosłych dni

Rozsypię też na rozstaju
suszone zioła i mak
miejże choć jedną noc sytą
skoroś się znalazł wśród nas

4
Jeszcze obok kornie złożę
bukiet z polnej ciszy
że w nim tyle, tyle smutku
tylko Ty usłyszysz

5
Daj Dzieciątko
do syta ziarna
myszom bezdomnym
schrypniętym pasikonikom

dłoniom artretycznym
bezlicznych babć i cioć
daj ciepła węglowego
aby nie stygły w nocy

Zmarzniętym drzewkom w sadzie
daj po ciepłej sukience
aby Ci latem szumiały
w kolorowej podzięce

Daj, daj
a Ty nie masz Maleńki
nawet ździebka odzieży
sam nagi i obtłuczony
pod kapliczką leżysz

Grudzień 1982

O Annie Kajtochowej pisali:

„Sytuacje" — ten tytuł wydaje się szczególnie wymowny. W nim wyraża się dążenie do różnorodnej egzemplifikacji w konstruowaniu sądów moralnych, do pełnego ogarnięcia złożoności ludzkich doświadczeń. W nim kryje się także konkretność tej poezji, jej związek z życiem. Kajtochowa nie buduje abstrakcyjnych światów — odtwarza realne sytuacje, które w jej poetyckiej optyce ulegają odpozorowaniu i demistyfikacji, bądź dowartościowaniu i refleksyjnemu sproblematyzowaniu. Te „sytuacje" przywołuje się tutaj po to, by wiersz był zakorzeniony w autentycznej fakturze życia i rzeczywistości, by moralitet (jakim przecież jest ta poezja) nie był ani autorytatywny, ani wyspekulowany.

Ale nie zapomniała autorka i o tym, że podstawowym kluczem, jakim wiersz otwiera rzeczywistość, jest „sytuacja liryczna". Sytuacja liryczna to akt przeciwstawiania rzeczywistości pozaliterackiej rzeczywistości kreowanej i na tym styku rodzi się cała dramaturgia i sens istnienia poezji. Autentyzm dla tak rozumianej sytuacji lirycznej jest czymś niezbędnym: robienie poezji z cudzych słów i cudzych sytuacji byłoby poniekąd jej samowyrzekaniem się.

Ten autentyzm i ten liryzm Kajtochowa potrafi nie tylko osiągać, lecz i zespalać. Zadziwia mnie zresztą, że jej poezja, mająca przecie tyle ambicji intelektualnych i etycznych, nie zrezygnowała ani o cal z liryzmu, że nie wyrzekła się go, jak to się dzisiaj na ogół dzieje.

I zadziwia mnie, że ten liryzm, tak przecież tutaj nadwrażliwy, czuły i rozestetyzowany, jest równocześnie

powściągliwy i nie zabierający miejsca innym, artystycznym i treściowym, składnikom wiersza. Rzadko zdarza się czytać wiersze tak czułe i tak po kobiecemu serdeczne, jednak nie popełniające grzechu najmniejszej ckliwości.

Myślę, że tajemnica tkwi w warsztacie poetyckim: proszę zwrócić uwagę na prostotę i lapidarność tych utworów, na ich ascetyczną małosłowność, na elipsy myślowe i skromność obrazowania.

Mamy więc do czynienia ze świadomą redukcją środków artystycznych, ze świadomym ograniczaniem ornamentacyjnych cech języka poetyckiego, z odrzuceniem baroku estetycznego. A jednak te wiersze są bardzo „poetyckie" i „liryczne". Jednak wciąż bazują na tak tradycyjnych środkach, jak metafora, parabola, symbol. Wciąż operują „nastrojem" i emocją, korzystają z języka niedyskursywnego. Są ascetyczne, ale gorące, powściągliwe, ale namiętne.

Leszek Żuliński: *Sytuacje liryczne — piękne choć bolesne, 1985 r.*

Poetka realizuje się najpełniej w mądrym psychologizowaniu. Dlatego razem z nią wiążemy się pamięcią z odeszłymi, dlatego ból przywołany na chwileczkę staje się miarą człowieczeństwa, dlatego oddalenie od innych odczuwamy wespół z autorką tak głęboko. Innymi słowy poezja Anny Kajtochowej to psychologizowanie, to ciągłe badanie własnego ja i przez to właśnie duszy innego człowieka. Nas, czytelników poezji. [...]

Jej naiwna, serdeczna wiara w to, że się naprawdę z samym sobą da rozmawiać bez zakłamania — jest czymś naprawdę pięknym. Przerażająca bezsiła człowieka, który walczy z czasem, własną chorobą, staje się jednak pod piórem Kajtochowej myślą trwałą. Nie, nie powtarza twórczyni

spraw przebrzmiałych. Nie jest bowiem przebrzmiała ani choroba, ani przemijanie. Naturalnie łączy się to ściśle z umiłowaniem życia i ta samoanaliza Anny Kajtochowej stanowi o oryginalności jej poezji.

Olgierd Jędrzejczyk: *Czy uda się uciec?, 1984 r.*

Szczególnie przekonywająco przemawiają wiersze tej poetki, kiedy mówią o przyrodzie. A także, gdy mówią, nieraz w sposób wielce dramatyczny, ekspresyjny, o powszednich sprawach, o codziennym życiu ludzkim, tak bardzo dziś skomplikowanym.

Jest w tej poezji i „franciszkańska", można by powiedzieć radość istnienia. Jak choćby w wierszu:

Poznałam trud rodzenia
ból rozstania
cierń miłości
dno rozpaczy

I cieszę się
świtu wschodem
pierwszym stąpnięciem
śnieżyczką w marcu
i sobótką w czerwcu
Nie zabijajcie
mojej radości

Zbigniew Dolecki: *Wiersze znad Skawy, 1984 r.*

Jest to poezja uniwersalna, bardzo ambitna, wnikliwie penetrująca ludzkie myśli, introspekcyjna, udowadniająca, że trzeba nosić n i e b o w s o b i e, a nie spoglądać za nim w przestworza...

Emil Biela: *Nosić w sobie niebo, 1984 r.*

Z każdym nowym tomikiem wzrasta wiarygodność poezji Anny Kajtochowej i umacnia się jej pozycja w pierwszej dziesiątce polskich współczesnych poetek [...]

Przewaga zasadza się w lirycznej kondensacji, w braku stroficznego gadulstwa, w lapidarności obrazu i myśli. I stąd, wydaje mi się, wynika pierwsza przyczyna, że są to wiersze przede wszystkim dla mężczyzn Prawdziwy bowiem mężczyzna nie lubi w gruncie rzeczy kobiecej paplaniny, wystarcza mu po prostu kobiece piękno, a ono jest w całej okazałości w wierszach Kajtochowej. Piękno bez brutalnej nagości, jak to miało miejsce w wierszach Świrszczyńskiej. Wszystkie kobiety świata — zwrot wzięty z wiersza Kajtochowej — mogłyby się podpisać pod *krzykiem lelka* i zaprosić do *stygnącej kipieli.*

Druga przyczyna, że są to wiersze dla mężczyzn, jest w tym, że ich czytelnicy poznają głębiej swe towarzyszki życia. Tajemnica kobiety, nigdy do końca nie zgłębiona, okaże się nieco bardziej czytelna. Kajtochowa uchyla kurtynę kobiecej psychiki, ukazuje skalę wrażliwości, daje drogowskazy, gdzie patrzeć ma razem z kobietą — mężczyzna. Poetka jeszcze raz uświadamia nam, że poezja jest bólem, lękiem i nadzieją... Gdy słowo poezja zastąpimy słowem kobieta, to powstanie interesujące przesłanie dla wszystkich mężczyzn świata: kobieta jest bólem, lękiem i nadzieją. Moją, naszą.

Emil Biela: *Wiersze dla mężczyzn, 1995 r.*

„Sytuacje" są kolejnym powrotem do dzieciństwa, analizą młodzieńczych uczuć dokonaną przez dorosłego człowieka. Przez pierwszy tomik poetycki Anny Kajtochowej przemawia dojrzałość, autorka pomaga innym zrozumieć świat, staje się postacią o nadludzkiej sile trwania.

Wciąż trwają we mnie tamte dni
Mieszają wszystkie poplątane sprawy
Koszmarem męczą niewyśnione sny
Kosy ścinają pulsujące trawy
[...]
Szkielet gałęzi pozbawionej kory
Mianuję różdżką odkrywczynią wody
Ściągam nią burze — huczą piorunami
Widzę kulisty — pulsuje nad nami

Przez wiersze przemawia cel istnienia, który poetka stara się wytłumaczyć, dając do zrozumienia jednocześnie, że sama go już poznała. Stylistycznie jest tu więcej klasycznych wierszy niż sentencji, do których powraca Kajtochowa w następnych tomikach. W wierszu zamykającym pierwszą część książki, pojawiają się słowa osoby, która przeszła przez większą część życia, kierowane do kogoś, kto zaczyna swą podróż. Można je odebrać jako poetyckie rozważania, można jako ostrzeżenie.

Byłam małą dziewczynką
w gorzkiej wodzie brodziłam po kostki

Byłam młodą dziewczyną
gorzka woda sięgała po pas

Byłam młodą kobietą
gorzka woda dosięgała piersi

Jestem młodą staruszką
gorzka woda zalewa mi oczy [...]

Po przeczytaniu „Sytuacji" między czytelnikami a autorką tworzy się silna więź; wrażenie, jakbyśmy się znali

od dawna. A to chyba największy sukces dla pisarza, kiedy poprzez swe dzieło staje się przyjacielem. [...]

Bardzo niewyraźnie przebiega u Kajtochowej granica pomiędzy życiem a śmiercią. Jednak nie jest to, jak choćby u Ewy Lipskiej, całkowite zaakceptowanie nieuniknionego odejścia. Ani jak u Haliny Poświatowskiej — nieme wołanie o pomoc. Poetka stara się przełamać psychiczną barierę, zrozumieć śmierć. Ucieka się do nieraz tragicznych wspomnień, przeplatając je z aktualną, cichą walką o prawo do życia (powieść „Tamten brzeg"). Innym razem jest to wnikliwa analiza istoty śmierci, jej fizycznego bólu i odchodzenia („Krawędź" z 1986 r.). [...]

Przemija zło, świat odradza się. Jak przywiędłe źdźbła trawy, z których zdjęto kamień zabierający słońce. Przemijają pory roku w nierozerwalnej symbiozie z życiem. W ostatnich latach coraz łatwiej zgubić światło wśród białego dnia. Lecz jest wyciągnięta dłoń, „Stygnąca kipiel" — książka, która pomaga żyć. Odeszła śmierć lub nauczyliśmy się jej. Smutek przeminął albo trwa — jak oswojony dziki zwierz. „Stygnąca kipiel" przenosi czytelnika w inny wymiar, inny świat, także ten, który przeminął („Cyganie"), ale też w intrygującą podróż w poszukiwaniu przebudzenia z niepewnych marzeń („Wołanie zza chmur"). [...]

Wiersz „Wiosenne nastroje", w którym po mistrzowsku połączyła autorka granice państw Śmierci i Nadziei, śmiało wysuwa Annę Kajtochową do grona najwybitniejszych postaci polskiego Parnasu. Pisarka jest stanowcza, zdumiewa cichą radością istnienia, lecz pozwala nam widzieć w sobie tylko człowieka. I jej nieobce jest to milczące poddawanie się, ból przerwanej chwili. [...]

Anna Kajtochowa — poetka, która idzie przez życie z sercem na dłoni.

Eryk Ostrowski: *Wędrówki o świcie. Anna Kajtochowa na tle swojej twórczości, 1997 r.*

Spis treści

SYTUACJE	**3**
RÓŻNE	**65**
*** /Gdybyś był ziemią/	67
*** /Lubię uspokojenie/	68
Noc	69
*** /Pamięci moja/	70
*** /Zachyboczę wątłym płomykiem/	71
Zrównać z ziemią	72
Dzień	73
Powroty	74
Dom	75
KRAWĘDŹ	**77**
*** /Cały świat/	79
*** /Jest we mnie cisza/	80
*** /Od lat/	81
*** /W ciszy/	82
*** /Gdyby skroplić sny/	83
*** /Między nami morze/	84
*** /Każdy z nas/	85
*** /Zanurzyć się/	86
*** /Nie/	87
*** /Dzielę się z tobą/	88
*** /W gąszczu nocy/	89
*** /Krawędź/	90
*** /Ach te moje/	91

*** /Przywyknąć do starości/ 92
*** /Płynę po wzburzonym Styksie/ 93
*** /Człowiek wymyślił czas/ 94
*** /Ustawiony przy kolejnym słupku/ 95
*** /W pozycji horyzontalnej/ 96
*** /Patrzyłam/ 97
*** /Przywracający życiu/ 98
*** /stukot drewniaków/ 99
*** /Przez tyle lat/ 100
*** /Burza strzaskała drzewo/ 101
*** /Nie zmieni się/ 102
*** /Myślenie o przyszłości/ 103
*** /Ujrzeć głęboki śnieg/ 104

URODA TARNINY **105**
*** /Dziwię się każdej godzinie/ 107
*** /Rysowałam miłość/ 108
*** /czy ta piaszczysta/ 109
*** /Jesteś/ 110
*** /W muszli/ 111
*** /Noc/ 112
*** /Kurczy się/ 113
*** /Młodość/ 114
*** /Jeszcze jeden dzień/ 115
*** /Łowię świt uchem/ 116
*** /Dociera do mnie świat/ 117
*** /Biegnę przez życie/ 118
*** /Ulotność wiatru/ 119
*** /Wiewiórka/ 120
*** /Wzbić się/ 121
*** /Pałacowa noc/ 122
*** /Na tyle głosów/ 123
*** /Szukam swego/ 124

*** /Nauczyć się od ziemi/ 125
*** /Lubię wierzbę/ 126
*** /Pomówić z bocianami/ 127
*** /Pustka drzemie/ 128
*** /Nauczyć się słuchać/ 129
*** /odkładam epokę/ 130
*** /Włożyłam jarzmo/ 131
*** /Ryba wyrzucona na brzeg/ 132
*** /W cieniu/ 133
*** /Pierwszych rodziców/ 134
*** /Światło muru nocą/ 135
*** /Nie do wiary/ 136
*** /Witasz mnie miasto/ 137
*** /Na przebytej drodze/ 138
*** /Przeminął dzień/ 139

USIŁOWAŁAM BYĆ CZŁOWIEKIEM **141**
*** /I zapyta Pan/ 143
Człowiek XX wieku 144
*** /Jam z rodu Nomadów/ 145
*** /Rzeczywistość nie jest/ 147
*** /Rosną we mnie/ 148
*** /Oderwać się/ 149
*** /Oprócz prawd wiecznych/ 150
*** /Dlaczego zło fascynuje/ 151
*** /Nie wystarczy/ 152
Pasjans 153
Oswajanie ciszy 154
*** /Ileż to już razy/ 155
*** /Czas stanąć pod ścianą płaczu/ 156
*** /Na rogu ulicy/ 157
*** /Zły czas dla wierności/ 158
*** /Jeden jedyny liść/ 159

*** /Najgorzej jeśli drzazga/ 160
*** /Przedziwne/ 161
*** /Kiedy zaczyna się życie na niby/ 162
*** /Upaść by krzyżem/ 163
*** /Z trudem wyrywam się/ 165
*** /Tę miłość zrodził/ 166
*** /Złota Matko Częstochowska/ 167
Ojczyzna 168
*** /A najwspanialszy jest szczur/ 169
*** /Aksamit miedzy pod stopami/ 170
*** /Och, ta materia wyobraźni/ 171
W Boże Ciało 172
*** /Barwę zmienia las/ 173
*** /Trudno dać świadectwo prawdzie/ 174
*** /Rozmowa jak/ 175
*** /Oglądam siebie/ 176
Dziecięca zima w Bieszczadach 177
Przedwiośnie 178
*** /Lubię rozmawiać/ 179
*** /Dotrzeć/ 180
*** /Spływa wieczór/ 181
*** /Stokrotka/ 182
*** /Najpełniejszą ze znanych mi przestrzeni/ 183
Rozmyślanie po latach 184

KRZYK LELKA **185**
Rozmowa Marii z nocą 187
*** /Przydrożna kapliczka/ 189
*** /W ulewie słońca/ 190
*** /Zbaczam/ 191
Przymusowy przystanek 192
Zabłąkana kolęda 193
*** /Cierniowo/ 194

*** /Woskowy/ 195
*** /Wielostronnie można patrzeć/ 196
*** /Co dzieje się/ 197
*** /Podwika przesłania/ 198
Na wystawie 200
*** /Do nieznajomego/ 203
Egzystencjalne pytania 204
*** /Najpiękniej modlić się/ 205
*** /Czarna kobieta z naprzeciwka/ 206
W wakacyjnej skali 207
*** /Adwentowe noce/ 210
*** /Anno Domini 1995/ 211
*** /Mirtowe drzewko/ 212
Wspomnienie Wilna 213
O kolumnie Trajana 215
*** /Czy Ty ziemię/ 216

STYGNĄCA KIPIEL **217**
*** /Dobre dłonie Marii/ 219
*** /Niebywale ciężko/ 220
*** /Powiało wiedeńskim walcem/ 221
*** /Płaczą/ 223
*** /Pada śnieg/ 224
*** /Człowiek/ 225
Samotność w sadzie 226
*** /Można schłodzić uczucie/ 227
*** /Jakimż cierniem/ 228
Wiosenne nastroje 229
Wołanie zza chmur 230
Straszna ze mnie konserwatystka 231
*** /coraz głośniej krzyczy/ 232
Cyganie 233
*** /Gdy rozum śpi/ 234

*** /artystа średniowieczny alchemik/ 235
*** /Jak to się dzieje/ 236
*** /cząstki dnia/ 237
*** /Oj, przeszłoby się, przeszło/ 238
*** /U narodzin dnia/ 239
*** /Piosenka białej brzozy/ 240
*** /Samotność to odchodzenie/ 241
*** /Kiedy grudniową nocą/ 242
*** /Bóg Ojciec/ 243
„Koniec naszego świata?" 244
*** /Czymżeż poezja?/ 245
*** /Istotę Dobra i Zła/ 246
*** /Posiwiały brzozy/ 247
*** /Chciałabym/ 248

CIEŃ OZYRYSA **249**
Cień Ozyrysa 251
Tatarskie prośby o świcie 262
*** /I oto spoczęła/ 264
*** /I oto okazja/ 265
*** /Sama wobec ciemności/ 266
Metafizyka 267
*** /Czy Syzyf/ 268
*** /Syta radością/ 269
*** /Ta obcość/ 270
*** /Ten pochylony/ 271
Matka ... 272
... i dziecko 273
*** /Lubię wnętrze świątyni/ 274
*** /Są dni ołowiane/ 275
*** /Opowieść w jambach/ 276
*** /Ziarnko piasku/ 277
*** /Niegdyś o poranku/ 278

*** /Ptakiem ulecieć/ 279
*** /To piękne/ 280
*** /Leśny dom/ 281
O Mario 282
*** /Przywiązujemy się/ 283
*** /Kwiatki szmatki/ 284
Oda do miasteczek 286
*** /W oczach padającego/ 288
*** /Chwytałam świetliki/ 289
Na śmierć tuberozy 290
Wszyscyśmy z Wujka 291
*** /Liszki mają jamy/ 292
*** /Ogniem rozgorzał/ 293
*** /Radość życia/ 294
*** /Wolność.../ 295
*** /Im głośniej/ 296
*** /Daremny bunt/ 297
*** /Kwiaty nad ziemią/ 298
*** /Krzyżmem namaszczone powieki/ 299
*** /O czym świtem ptaki/ 300
*** /Kropla miłości/ 301
*** /Jak dalcko może/ 302

OGRÓD OSTÓW **303**
Pejzaż podmiejski 305
*** /Ponad/ 307
*** /W tym samym dniu/ 308
*** /Dźwięk słowa/ 309
*** /Nie rozliczę się/ 310
*** /aurea mediocritas/ 311
*** /Żałujemy nie tylko róż/ 312
*** /Cudownie mieć/ 313
*** /Dlaczego powstaje/ 314

*** /I jak tu nie witać/ 315
Zaduszki 316
*** /Osiemnastowieczna lipa/ 317
Do NN 318
*** /Jak to jest/ 319
Przed płótnami Rembrandta 320
Impresja z wystawy - żart 321
O współczesności pod wpływem lektury Norwida 322
*** /Słońce powleka skórę/ 323
*** /quidquid id est, timeo/ 324
*** /Dzięki ci losie/ 326
Rozmowa z synem 328
*** /Niemowlęta w becikach/ 329
Pochód cieni 330
*** /Czy Giordano Bruno/ 331
*** /To ty Janie Sebastianie/ 332
*** /Czy nienawiść to tylko/ 333
Salome współcześnie 334
*** /Nie mówi się źle/ 335
Wariacje na temat ... 336
Do mojej córki 338
*** /Kiedyś Hades/ 339
Źródełko 340
Anno Domini 1994 341
W noc wigilijną 342

O ANNIE KAJTOCHOWEJ PISALI **345**